JORDAN.

BIBLJOTEKA MRÓWKI T. 20. — SERJA DRUGA T. 2.

ANTONI SOWA.
(EDWARD ŻELIGOWSKI.)

JORDAN

FANTAZJA DRAMATYCZNA.

Ja Sowa jestem, ja latam w ciemności;
Lecz, gdy dzień wzejdzie, ja schowam się w cienie,
Zostawię życie ptakom jasności,
I głos mój stłumię, aby Sowy pienie
Nie przerażało pienia jasnych ptaków,
Lepszych od Sowy, choć Sowy rodaków.

WYDANIE TRZECIE.

LWÓW.
NAKŁADEM WYDAWNICTWA MRÓWKI.
Czcionkami Dra H. Jasieńskiego.
1870.

MOIM NAJUKOCHAŃSZYM RODZICOM

W HOŁDZIE CZCI, WDZIĘCZNOŚCI I MIŁOŚCI SYNOWSKIEJ.

Poświęca

AUTOR.

DO PIERWSZEGO WYDANIA.

Ktokolwiek wyszedł po za swoją jednostkę, obudził żywy w sobie interes dla życia współludzi, patrzył na społeczeństwa jakby na wielkich swych braci, musi dostrzedz koniecznie, jaki ogromny niepokój w rysach fizjognomji i w łonie dzisiejszych społeczności! Czy to hektyczna gorączka konającego starca? czy to życia nowego zjawiska?

Tak, nowego życia nadzieją, przeczuciem rozdyma się pierś człowieczeństwa. Z końca do końca świata przebiega szmer—jak budzącego się przed rankiem wiosennym dźwięk ptastwa, jak ciche drżenie roślin witających słońce, jak ruch mgły niosącej powitanie od ziemi niebu, tak po piersi człowieczeństwa przebiega uroczyste drżenie witające pod wszystkiemi względy nową epokę życia.

Swiat nasz dzisiejszy, mąż wielu wieków, oparty na konarach przeszłości, już nie szalony młodzieniec, już myślił dużo, dużo czuł i cierpiał i wątpił i rozpaczał; i dzisiaj w nowe pierś swą

przyszłości oddając śluby, zda się z całą godnością pojmować wysokość sakramentu w chrzcie nowej idei!

Dla usprawiedliwienia stanowiska moich wyobrażeń rzucę gwałtowny rzut oka na górujące zarysy z obrazu przeszłości, której obecna chwila i następne wieki są ciągłem wykończaniem arcydzieła wszechmocnej ręki. Zaledwo, mówię, na kilka zarysów: bo jakże inaczej byćby tu mogło?

Na zgliszczach cywilizacji starożytnych ludów, gdzie w mozolnej robocie probują sił swoich; gdzie nakoniec przychodzą do najwyższego samowiedztwa siły materjalnej w potężnym i dążącym do panowania nad całym światem Rzymie; gdzie Grecja rozwija i wykształca w swojej poezji i pobratymczych sztukach najpiękniejsze, najsubtelniejsze zmysłowości odcienia; gdzie lud wybrany przychodzi do poznania Jehowy jedynego, który jest, był i będzie; na zgliszczach, mówię, tej żyznej cywilizacji rozrosło się Boskie ziarno nowej ery chrześcjańskiej. Ludzkość odradza się w boskiej duchownej szacie; z cudownym, nadludzkim prawie entuzjazmem idzie po szczeblach duchowego rozwoju: bo Bóg z nieba został bratem, i wskazał cel najwyższy ludzkości już nie piastowanie jedynie urzędów i służenia rzeczypospolitej, jak w Rzymie, lecz cel podniesienia się do Boga. Dla zdobycia duchowego sztandaru leje się krew męczeńska, aż

pod niebo rosną bohaterowie ducha; nie dla sławy, nie dla zaszczytów, lecz w duchowej głębokiej wiary pokorze.

Kościół reprezentuje i pchnie naprzód wszystkie elementa, wszystkie warunki rozwicia się społeczeństwa, wszystkiemu przodkuje. Lecz oto przy końcu średnich wieków siła jego pędowa ustaje, na miejscu której wybujały fanatyzm hamuje postęp. Ludzie postępu giną, jako heretycy, w więzieniach, w torturach inkwizycji. Łamie się harmonja ludów i Kościoła. Nie bez przyczyny rodzą się różne odstępstwa;— Reformacja! Postęp dalszy ludzkości nie ma już rękojmi.... Każda nowa idea staje się dlań niepokojącą, groźną, niebezpieczną. Teorje Galileusza, Kopernika, Descarta, wyklęte. Wielki mówca Bellarmin wznosi głos przestrachu, zwołuje inkwizycję—uradzają, ażeby przerwać wszelkie roztrząsanie hypotezy Kopernika *) Lecz wieczny niepokój wzrostu i postępu, w łono ludzkości dłonią Boga zasiany, musiał ją pchnąć dalej. Świeccy biorą przewagę ducha nad duchowieństwem.

Cywilizacja francuska, francuska filozofja, język, honor, ton, od brzegów Sekwany na cały

*) O tymże samym Bellarminie mówi genjalny pisarz francuski: Il avait aussi livré comme suspectes, les dêcouvertes de quatre satellittes et cet instrument de magie le telescope qui menaçait de bouleverser les cieux.

świat europejski panowanie rostaczają. Wszystkie życia warunki zda się rozwiązywać rozum francuzki (*l'esprit*).

Francuzki język, jak niegdyś kościelny, staje się językiem powszechnym nie tylko towarzyskim i dyplomatycznym, lecz zarazem organem nauki. Wiemy, iż *Leibnitz* pierwsze swe dzieła w języku francuzkim drukował. Fryderyk Wielki nie uważa za dość godny język narodowy, po francuzku pisze i dzieła swe ogłasza. Wszystko francuzieje. Przepisy konwenansów salonu, honoru, dobrego tonu (*bon genre*), przeważniej, na nieszczęście działają na towarzystwa cywilizowane, niżeli dogmata religijne, niżeli prawdy z katedr i ambon ogłaszane. Duch religijny słabieje. Dowcip francuzki, lekki, szarpiąc zewnętrzną szatę Kościoła, podkopuje dogmata religijne. Indifferentyzm szeroko rozwiewa po świecie. Nakoniec świat cywilizowany przestał wierzyć i w Pana Boga i we Francuzów. Francuzi sami zaparli się swojej filozofji. Materjalna cywilizacja kończy się zupełnem rozprzężeniem socjalnem w rewolucji francuskiej, lecz ogromne na przyszłość zostawuje skutki.

Niemcy daleko poważniej biorą się do dzieła; wznoszą się na najwyższy szczebel wiedzy ludzkiej. Świat się zdumiewa nad mocarzami inteligencji. Wszystkie tajniki piersi ludzkiej zda się zdobędą; słowo w słowo wytłumaczą każdy dzień

stworzenia; co mówię? każdą sekundę, każdy puls powtórzą. W zaślepieniu pychy intellektualnej zdali się wedrzeć aż do najskrytszych tajni Stworzyciela; i wszystko podsłuchali, odgadli wytłumaczyli. Jehowę odwiecznego przenieśli z nieba do swoich książek, do swoich traktatów i formuł. Lecz ciasno było Jehowie w formułach niemieckich; przeniósł się znowu Pan Wszechmocny na siedziby odwiecznych swych światów. Filozofja niemiecka, przebiegłszy najwyższe kriterium rozumu, utworzywszy najbardziej mistrzowski skalpel dla wszystkich psychicznych operacij, rozwinąwszy najwyższą djalektykę, znalazła się dzisiaj znowu prawie na tym samym stopniu, czem była przed Kantem! Nie wzbiwszy się do organicznej całości, rozpada się na cząsteczki.

Dwie główne idee: Heglowskiego Idealizmu i Realizmu Herberta pogodzić się z sobą nie dają. Jedna i druga wywołują upartych zwolenników. Lecz dziwna, wszystkie społeczności elementa ogromnie się rozdzierają na te dwie zasady: idealną i realną, i widzimy ciągłe ścieranie się tych dwóch pierwiastków, których się dotąd nigdzie pogodzić nie udało. W polityce dwie zasady: realna i idealna czyli historyczna i oparta na prawie rozumu (*Vernunftrecht*); ci chcą zmiany, tamci przedłużenia obecnego stanu rzeczy.

Sztuka niezadowolona warunkami subjektiwno-idealnej romantyczności, biorąc żywy udział w pulsach życia, dążności czasu, usiłuje stworzyć, że tak powiem, nowe ciało dla duszy piękności. Nauki tak nazwane ścisłe mniej stykają się z duchem filozofji, sądząc, że sobie wystarczą. Religja i teologja rozpadły się z sobą i z filozofją. Filozofowie niemieccy najnowsi: Reiff, Frantz, Lotze, George etc., są tylko mniej lub więcej trafnemi szermierzami słowa; łatają oni systema swoich poprzedników, nicują, przerabiają, lecz nic nie tworzą *). Lecz byłoby rzeczą niesprawiedliwą chcieć zaprzeczyć koniecznej wielkiej zasługi wszystkim tym fazom, przez które ludzkość w swojem rozwiciu się postępowała; byłoby to naznaczyć Opatrzności, jakim sposobem ludzkość rozwijać się powinna. Było to konieczne przejście idei chrześcjańskiej przez kriterium rozumu **). Krystalizując nasze pojęcia, widzimy, że wieki starożytne przedstawiają apoteozę materji; średnie

*) Zob. Das Grundprincip der Philosophie v. Hermann Ulrici.

**) Napomknąłem tu króciutko o duchowym rozwoju i wpływie dwóch ludów: Francuzów i Niemców, opuszczając wielkie imiona pojedyńcze innych krajów, które się wszakże potężnie przyczyniły w sprawie rozwoju ludzkiego ducha; lecz chodziło tu tylko o najgłówniejsze zarysy reprezentujące stan miniony kultury europejskiej.

i ostatnie, apoteozę serca i rozumu. Dzisiejsza świtająca epoka jest *apoteozą ducha!* Idea chrześćjańska dotąd w ludy wcieloną nie była. Pielęgnowały ją kasty, i nieraz do swoich nachylały widoków i celów.

Ludzkość musiała tę boską ideę, nim do jej pojęcia się zbliży, przepuścić przez swoje serce i rozum. Kiedyś osobno stanowisko mych pojęć rozwinę.

Otoż, jak powiedzieliśmy, powaga filozofji spekulacyjnej upadła, przeżyła siebie, nie zamknęła w sobie warunków potrzebnych do rozwicia się elementów społecznych. W formułach opartych na danej przeszłości chciano zamknąć przyszłość całą. „Lecz życia widokrąg, który uważano za zamknięty, otwiera się, świat się dusi w formułach szkoły. Nie usiłujmy z kolei do potoku życia mówić: ty nie pójdziesz dalej. Prawo ludzkości powinno się składać z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, którą w sobie nosimy. Ktokolwiek dzierży jeden tylko z tych czynników, posiada tylko fragment z praw świata moralnego. Sledźmy ducha czasów, który już ubiegł, i słuchajmy nowego, który do drzwi naszych puka.“

Europa czuje, iż ona żyje życiem, że się tak wyrażę, na kredyt; lecz kapitał życia dopiero nagromadzić jeszcze powinna. Musi w piersi swojej wypielęgnować, wykarmić to Boże ziarno,

które Bóg w łono naszej epoki zasiał. Z prawdziwą rozkoszą powtórzę tu słowa wspomnianego pisarza francuzkiego, którego zdanie tu najżywiej podzielam: „Gdy religja jest punktem kulminacyjnym każdego narodu w szczególności, chrystjanizm jest ideą najwznioślejszą rodzaju ludzkiego; zkąd wypada, iż człowiek, który chce objąć prawa ludzkości, musi koniecznie wznieść się na wysokość Ewangelji“ *)

Wiek nasz jest wiekiem religijnym! Rozwicie na tej kanwie indiwidualności narodowych; sproszczenie symbolów idei chrześćjańskiej; głębokie jej pojęcie w duchu i przelanie w życie, we wszystkie warunki życia społecznego i domowego, będzie tem Słowem, które było u Boga, a które stanie się ciałem i zamieszka między nami. Sztandar ducha wzniesiony! Wszystkie konwencjonalne autentyczności sądów *in verba magistri* jakiejbądź cywilizacji, upadają; najwyższą autentycznością jest Bóg i duch Jego w ludzkość wcielony. Wstają nowe ludy, nową brzmią pieśń; fibry wewnętrznogo życia poczynają się we wszystkich swych roźwijać pierwiastkach; słowo Chry-

*) Si la religion est le point culminant d'un peuple en particulier, le christianisme est l'idée la plus elevée du genre humain; d'oú il semble qu'un homme qui veut embrasser la loi de l'humanité doit necessairement se fixer à la hauteur de l'Evangile.

stusowego braterstwa zaczyna się wcielać w ludy, nie w kasty.

Głębsze przejrzenie się w dziejach przekazało głęboką prawdę, iż biegowi rozwijaniu się ludzkości panują odwiecznie niezłomne boskie prawa, którym narody tak ulegać muszą, jak zarówno w przestrzeniach ich ziemi tworzące się góry, wulkany, rzeki, bieg i zmiana ich koryt.

Cóż ztąd wynika? Oto, każde indiwiduum, każda społeczność, przynosi z sobą na świat konieczne warunki swojego bytu i rozwicia się swojego. „Jako pielgrzymy i wędrowniki poruszamy się w naszem ciele, równie jak w kraju naszym, gdzieśmy się urodzili, i przez który naszą odbywamy wędrówkę. Nie zrodziliśmy naszego kraju z jego górami i równin przestrzenią; lecz w nim urodzeni, wcieleni w byt jego węzłami, skłonności i zwyczajów przywiązani do krainy naszego dzieciństwa, jak dusza do swego ciała: pozostaje więc nam w kraju naszym, równie jak w naszem ciele, działać, póki trwa dzień“ *)

Działać z najgłębszem rozeznaniem naszych obowiązków. Bez kary albowiem wspomnionych powinowactwa warunków przestąpić nie można Z głębokiego ich pojęcia wyrasta rękojmia postępu

---

*) Schubert. Geschichte der Seele.

Filozofja historji i statystyka rozstrzygnęły głęboko tę prawdę *).

Rezultat wieloletnich troskliwych poszukiwań statystycznych z poglądem wyższym na stan moralny ludów, przekazał nam przerażające na pozór postrzeżenia przepowiednich zjawisk, mających nastąpić na przyszłość, które wszakże wiernie odpowiedziały rubrykom tabelli. Obrachowano w obszarach rozległych krajów z dokładnością prawie aż do jednostek, wiele ludzi umrze w przeciągu roku, i jakiego stanu; wiele popełnią zbrodni, i jakiego rodzaju; ile, w jakiej porze roku, jakiego wieku ludzie, jakie mogą wyrodzić się talenta etc. etc. Czysta, czysta wyrocznia!

Przerażający na pozór widok, myśl takiego niewolnictwa, takiej konieczności, tak ślepego organicznego posłuszeństwa wolnej natury ludzkiej.

Statystyczne tabelle wyliczą na rok przyszły zbrodniarzy, i wolni ludzie idą położyć się w tabelli dla zapełnienia wyrzeczonej liczby! Więc od 18 wieków umęczony Chrystus; wszyscy męczennicy cnót, wszyscy, którzy dla świętej sprawy ludzkości dali siebie na ofiarę, umarli daremnie? Więc postęp ludzkości, jej odrodzenie się, jest tylko chimerą, mydlaną bańką w głowach marzycieli? I przecież takich sądów nie mało! Lecz

*) Zob. genjalne dzieło: Physique sociale p. Quetelet.

w obec prawdy rzecz się ma inaczej! Wiele razy tylko prawdziwe światło przenikło w łono najbardziej spodlonej społeczności, wiele razy tylko łono ciemnoty przejrzało własny interes w cnocie, tam nikły zbrodnie, zmniejszały się liczby tabelli, wzrastali bohaterowie cnoty! Gwałtowne namiętności, co były kanwą zbrodni, stały się cnoty dźwigniami! I nad niedoli wezgłowiem zaświta szczęścia zaranie!

I księga Mądrości i pisma głębokich myślicieli przekazały nam tę prawdę, że ani indiwidua, ani ludy, bez własnej pracy i ofiar ani swojego wykształcenia, ani zbawienia dostąpić nie mogą.

Jedno jest tylko prawdziwe nieszczęście równie dla indiwiduów, jak i dla narodów całych jedno jest tylko nieszczęście: spodlenie, ducha utrata! Wszystkie straty serca, jako i straty materjalne, bolesne, często okropne, wybiją człowieka z jego własnych brzegów, wyniosą za granicę siebie; są wszakże zwyczajnemi dolęgliwościami ziemskiemi. Człowiek je znosi, a Bóg wspomaga i cierpiących z pokorą ku boskiej podnosi godności. Inaczej jest z tem prawdziwem nieszczęściem — spodlenia: bo tam nie ma gdzie szukać pociechy; tam człowiek nie wejdzie do głębi siebie, gdzie Bóg przeżywa. Idzie szukać szczęścia daleko, daleko; gotów dlań poświęcić życie i wszystko, powierzyć się burzliwościom mórz i losów; lecz

szczęścia znaleść nie może: bo ono jest schowane w nim samym; lecz niestety! on odbiegł dalej od siebie, niżeli do ostatnich mórz krańców, do przeciwległych świata biegunów; on szczęścia nie znajdzie, bo je depce własnemi nogami! Aż się obejrzy i ukorzy, i szczęście zdeptane z pod stóp swych podejmie. *Nam qui peccare se nescit, corrigi non vult.*

Błogosławiony, kto z podniesionym duchem w natchnieniu proroczem zobaczył szczęście i zawołał: „jam szczęśliwy!“ On przeczuł to szczęście na ducha wyżynach.... on jest nieomylnym prorokiem; lecz droga dla innych tam bardzo daleka. Trzeba tam wzlecieć na świętych skrzydłach ducha; trzeba się usposobić do wielkiego lotu; trzeba pierwej pożyczyć oczu bazyliszka, i spojrzeć w głąb siebie, i zabić swoją nikczemność, oczyścić się i uduchownić się. To nasza na dzisiaj najgwałtowniejsza robota, nim wzlecieć zdołamy. I tyle tylko razy udało się ciałom społecznym zrzucić z siebie splamioną i podartą odzież, a przyjąć nowe i świeże szaty, tyle razy tylko udało się postawić krok naprzód, ile razy organizm społeczny umiał rozeznać się w sobie, zgłębić swoje pierwiastki i elementa, i w tem zrozumieniu swoją umiejętność i ducha swojego do pewnych zrozumianych nakierować celów i dążeń. To samo rozumie się i o indiwiduach. To jest prawo nor-

malne postępu; historja tej prawdy, rękojmia. Wszystkie reformy społeczne, jakkolwiek różnorodne, jedną, i tąż samą przebiegły elipsę w znaczeniu tej prawdy.

Nie jedna społeczność w wiry okropnych strącona otchłani, iść musiała na boleści i rozmyślań puszczę, by się w głębiach swych piersi przejrzała i wolę Boga i missję swoję odgadła.

Dla zapełnienia życia jakiego narodu nie wystarczy natchnień chwilowych.

Nie dość boskie mieć natchnienie,
Trzeba boskie mieć sumienie.

Upić się na chwilę zapałem, a potem rzucić się na łoże letargu i kalać się w błocie samolubstwa! drugą bytu swojego połową zaprzeczyć całkowicie pierwszej; to nie znaczy chcieć szczęścia, to nie znaczy umieć je pojmować. A przecież to tak widoczne dzieje. A jakaż przytem straszna ciemnota w warstach społeczeństwa, co świecić powinny.

Literatura narodowa powinna być refleksem, źwierciadłem życia wewnętrznego. Przebiegając pasmo życia indiwiduów czy narodów, ażeby zobaczyć fizjognomję ich ducha, dwa sobie robimy pytania: co oni myślili? i co robili? Reflektując myśli ich i czyny, rzucamy światło z jednych na drugie; i po nich się poznaje charakter wieku i czasu. Jedna z prac moich, którą tu przedsta-

wiam, miała na celu zreflektowanie kilku głównych rysów naszej społeczności. Daleki jestem (mówię to w prostocie ducha) mniemać, ażebym dokazał tego, ile trudność zagadnienia wymagała. Na dokonanie tego większychby sił potrzeba było, większego talentu.

W rzeczach sztuki i imaginacji jedno główne zachodzi pytanie: czy jakakolwiek produkcja nosi w sobie konieczności warunki? Lecz ta konieczność jeszcze jest dwojaką: bezwględną czyli odniesioną do praw niezbędnych sztuki i potrzeb społecznych, i względną odniesioną wyłącznie do autora. Dogodzenie obu konieczności warunkom stanowią utwor pożyteczny. Ten sąd nie do mnie należy. Jedno tylko, z całem męztwem cywilnem, śmiem sobie rościć prawo, że pisałem z najwyższą szczerością ducha, z nieprzełamaną wewnętrzną potrzebą.

Jeżeli gdzieniegdzie mój pogląd wyda się jaskrawym, nic na to nie odpowiem więcej, że tak własnemi widziałem oczyma. Jeżeli w usta duchów włożone słowa nie zawsze tchną eterem; gdyby to chciano uważać za grzech przeciw sztuce, to się bronić przeciw temu nie będę. Nie zawsze ludziom mówić to wolno, co wolno duchom. Nakoniec nie o dogodzenie sztuki warunkom, lecz naszemu przekonaniu tu bardziej chodziło. Jeżeli nie wszystkie odcienia naszej społeczności dotknięte tu zostały, to może insze moje prace dotkną je

bliżej. Znawcy sztuki i natury poetycznych utworów aż nadto dobrze są przekonani, że poemat nie może być traktatem obyczajowym.

Niech każdy robi, co może.

Antoni Sowa.

DO DRUGIEGO WYDANIA.

Grzeszyłbym może przeciw świętemu uczuciu wdzięczności tłumiąc w sobie głos, że tak nazwę dziecinnego ukontentowania za to współczucie z jakiem pierwszą moją pracę powitali ziomkowie moi. Ten głos dziecinnej radości chciałbym i dla siebie starca zachować, i o jedno tylko raz na zawsze współubiegać się miano zostać dobrem dzieckiem swojej społeczności i czasu. Na to pracować nie tylko się godzi, lecz raczej zdaje się być każdego obowiązkiem; bo tu jest węzeł łączący ludzi świętym ślubem miłości u ołtarza postępu i zbawienia.

Z roskoszą przyjąłem uprzejme powitania licznych pism perjodycznych a nawet i dzieł ścisłej naukowej formy. Czytelnicy niemniej swojego współczucia, domaganiem się w przeciągu kilku miesięcy drugiej edycji, zaszczytne dali dowody.

Że robionych mi postrzeżeń nie chcę zbywać lekceważącem milczeniem, dowiodę w kilku słowach wstępnych do II. Części Jordana, która ma

rychło wyjść z druku. Woleliśmy to odłożyć do II. Cz.; gdyż możebyśmy się tu za nadto rozwlec musieli i nadużyli przyzwoitych rozmiarów przedmowy, zwłaszcza że wstęp przy pierwszaj edycji umieszczony tu się dołączyć musiało.

Antoni Sowa.

I.

Wie sprang, von küh em Muth beflügelt,
Beglückt in seines Traumes Wahn,
Von keiner Sorge noch gezügelt,
Der Jüngling in des Lebens Bahn!
Bis an des Aethers bleichste Sterne
Erhob ihn der Entwürfe Flug;
Nichts war so hoch und nichts so ferne,
Wohin ihr Flügel ihn nicht trug.

Schiller.

JORDAN

(w stanie somnabulistycznym. Wierzchołek stromy góry, skąd przepaść. Tuż widać smętarz i kaplicę.)

W Imie Boga, przysięgam, że śmiało polecę,
Choćby pęd duszy skrzydeł samego mię zabił.
Gdyby nawet mię zostać i blask raju bawił,
To przysięgam na Boga, że śmiało polecę;
I nic dzisiaj już biegu mojego nie wstrzyma.
Ja czuję, jak się żagiel mej duszy rozdyma,
I jak chęci huragan pędzi mię do lotu,
I jak po głębi duszy mej dziko przewiewa,
I zawianych pamiątek wygrzebł karawany;
W głębi łona rozwiewa uczuć oceany,
I pieśni wieków umarłych mi śpiewa!
Ja chcę się wiecznie poić dźwiękiem ich łoskotu.
Polecę pieśni falą na cudownych dźwiękach
Jęku umarłych z zawianych kurhanów;
I z szumem wichru pośród dzikich łanów
Mogił echa poniosą pieśń mą na swych rękach!
Polecę pieśni falą, rzeźwiącym oddechem,
Ze szmerem fali pogodnych strumieni.

Powitam kwiaty, łąki, uprzejmym uśmiechem,
I z echem gór się rozleję w przestrzeni!

(Wchodząc na wierzch góry.)

Jeszcze dalej kilka stop!
Ty księżycu znijdź z za chmur,
Wskaż jaśniejszy mi tu trop,
Trochę jaśniej mi tu świeć.
Serce moje! w bezdeń leć,
Zagraj piosnkę z czynem w chór!

(Śpiewa.)

O, chciałbym mieć ducha władzę,
Wiosennego słońca ciepło!
Niech rozkwitnie, co zasadzę;
Niech odżyje to, co skrzepło.
Gdybym tam, gdzie myśl dobieży,
Mógł czynami ślad w ślad zdążyć,
Duszą świat cały okrążyć,
I śród skalistych wybrzeży
Jak strumień wezbrany płynąć,
Myśl nieba odbić w mem łonie,
Rozlać szeroko me tonie,
Wylać się z brzegów — i zginąć!

DUCHY BRATNIE.

Utonąć w łonie wieczności,
Zginąć w jednostce, a ożyć w całości!

JORDAN.

Pamiętacież, bracia moi,
Te chwile, co tkwią tak żywo,
Gdzie pomników tysiąc stoi,
Gdzie się nadziei przędziwo
Chciało wytkać w szatę jawy —
W szatę czynów! — z życia strawy.
Żądaliśmy tylko tyle,
By, w ziemskiego bytu pyle
Łącząc znikome ogniwa,
Na kruchej życia dziedzinie,
W świętą ludzkości świątynię
Przysporzyli snopek żniwa!
O, myśl ta, jak magja czaru,
Wydymała pierś młodzieńczą;
I kreśliła wielką tęczą
Cel przestrzeni i obszaru!
I wzywała zapaleńców
Do zapasów i podróży —
Ostrzegała — kto się znuży,
Nie dostanie na skroń wieńców —
A dostanie — nudy, czczości;
Że co tchu tam biedz potrzeba —
I mówiła: — do wielkości
Równie trudno jak do nieba!
Bo się wyprzeć siebie trzeba
I maluczkim być na ziemi;
Zwiać ziemskiego pył nicestwa

Dla lepszego tam królestwa;
Zostać tutaj wybranemi.
I przebaczyć ziemskie złości!
Z czystem sercem w imie Boga,
Oto tędy jedna droga
I do nieba, i wielkości!

DUCHY BRATNIE.

Na wieki wieków, w jedno ogniwo
Związani z sobą popłyniem!
I wspólnie święte uczuć przędziwo
W sercach wyprzędziem, rozwiniem.
Przez labiryntu życia ścieżki kręte
Roztoczym na świat cały jak nić Arjadny.
Przeskoczym śmiało wstęp podróży zdradny.
Z ogniska ducha będziem pić ponętę
Do życia męczeństw i znoju i trudu,
I w cud uwierzym i dożyjem cudu!
Byt nasz zaślubim w duchowe zamęścia.
Gdzie nie ma cudu, tam nie ma i szczęścia!

JORDAN.

W wieczności, w przestrzeni,
Na gwiazdach i słońcach,
I w rąbkach kwiatów,
Na biegunów końcach,
I w tle strumieni,
I w tle szkarłatów
Jutrzeńki rannej,

I w mgle porannej,
I w rosy szkle,
I w trawki źdźble,
I wszędzie, i wszędzie,
Jest i był i będzie!
Stworzeń miljony,
Światów miljony,
To rąbki Jego szat,
To powietrzny puch!
Lecz kwiatów kwiat,
Lecz światów świat,
Nieśmiertelny duch! —
Za Jego promieniem
Szło życie z westchnieniem,
Ciemności mrok bledł —
Wgłąb piersi człowieka
Cudownie zacieka,
I tam zaświtał — i wszedł!

DUCHY BRATNIE.

Na ludzkiej piersi biegunie
Duchowe rozświetlił słońca,
Co płoną, świecą — świecą bez końca!

PATRON ZIEMI.

O, ludzkość w nocy nie spocznie już trumie!

DUCHY BRATNIE.

W kopalni ducha głębiny,
W nieśmiertelne miny,

Zarzucić bytu kotwicę,
Piersi płomieńmi,
Czynów promieńmi,
Zapalić nocy gromnicę!

(Znikają.)

CHÓR DJABŁÓW.

Piosenka stara
Słodka ułuda!
Szczęśliwa wiara
W płomienie! — w cuda!
W życia konieczność,
W przyszłości bajeczność,
Słodka ułuda!
Lecz się nie uda!
Piosenka stara —
Tra ra ra ra ra! —

JEDEN Z DJABŁÓW.

Nadzieja chuda,
Chora na płuca,
I ciągle kaszla, życie wyrzuca,
Leci za góry i morza,
Leci choremi skrzydłami,
Leci nad życia bezdroża,
Obecność depce nogami,
Przyszłością życie posaży
W ciągłym z przyszłością frymarku —

A śmierć cichutko stoi na karku
I już zamawia grabarzy!

DRUGI DJABEŁ.

Doprawdy szkoda mi tych biedaków.
Ja się zaczynam rozczulać,
Doznaję jakichś niesmaków.
Polecim sobie pohulać!

(Lecą.)

JORDAN.

(Wierzchołek stromej góry, skąd przepaść. — Tuż widać smętarz i kaplicę.)

O, Jej życie piękne było!
Ach! takie piękne jak Ona!
W sercu Jej z bolów korona,
A w jej twarzy szczęście lśniło!
I miała takie spojrzenie
I tak anielskie uśmiechy,
Że Ją widząc, rozgrzeszenie
Zda się spływać za twe grzechy!
Tam, gdzie ducha skrzydło dźwiga,
Niestulone uczuć pierze,
Gdzie pierś nigdy nie wystyga,
W młodocianej, świętej wierze,
Za kraj świata, w samo niebo,
W samo Boga jasne łono,
W chór aniołów, w świętych grono,
Tam Cię niosłem na promieniach
Mojej duszy; i w spójrzeniach
Twych odgadłem wniebowzięcie!
I szczęśliwszy nad pojęcie,
Niebo było mi potrzebą.

I przeczuło serce niebo —
Kochać Ciebie, wierzyć święcie,
To mej duszy koniecznością,
I rozumem mym i szałem,
To mem zdrowiem i chorobą.
Tak szalony Cię kochałem!
I nie śmiałem Ci złorzeczyć,
Chociaż ciężko chorowałem;
I nie chciałem się uleczyć,
Bo Ty byłaś mą chorobą,
A jam nie chciał rozstać z Tobą.
Ach! Ty byłaś mem i zdrowiem.
Czem Ty byłaś — nie wypowiem! —

Rozum, pamięć, nie spamięta,
Żaden język nie wygada,
Ni wypisać dłoń podoła,
Uroczystość tego święta,
Kiedy w serce nasze wpada
Pierwsza iskra niepojęta,
Która twoją pierś rozdmucha;
Kiedy pierwszy głos zawoła: —
Wstań, obudź się, iskro ducha!
Zabrzmi trąbą archanielską,
Duchowego przebudzenia,
I zaśpiewa pieśń anielską,
I wywoła z bytu cienia.
Uczuć słońca, co zapłoną,

I na nowo byt owioną,
I niebieską rosą skropią,
W piersi ziemskość twej roztopią,
I na Boga wzniosą łono,
I rozetlą ducha rdzenie,
Myśl wyniosą — ha w przestrzenie!
W wiry światów — na plemiona
Bratnich rodów — obcych ludów...
I pierś zabrzmi pieśnią cudów,
Tuląc cały świat do łona!

JORDAN (postrzega postać kobiety.)

Ach! to ona! toś ty! droga!
Ach! w te miejsca! o tej porze!

ANIELA.

W sercu mojem jasne zorze,
I dzień wieczny, jasność błoga,
Odkąd wpłynął w serce moje
Ducha twego jasny promień,
I wywołał życia zdroje.
Pierś owionął święty płomień;
Taka w sercu uroczystość,
Jakby codzień był dzień święty,
Jakby duch był w niebo wzięty,
Taka święta przezroczystość!
Ach! dokoła, myśl wesoła,
A tak jasna i zielona,
Tak jak gdyby z mego łona

Ciągle rosły kwiaty nowe,
Więcej wonne i tęczowe,
Niźli maju dzień je stwarza!
Ja je wszystkie wiążę w wianek,
Ach! i niosę do ołtarza,
Gdzie ty świecisz mój kochanek.
I tam ciebie niemi wieńczę,
Tam je tobie składam w darze:
Bo czemż tobie ja zawdzięczę?
Czemż piękniejszem cię obdarzę?
Tyś jedyny, tyś mój drogi,
Zasiał ziarna takich kwiatów,
I owoce lepszych światów,
Pośród ziemskiej wskazał drogi.
Ja cię kocham! i na wieki
Jestem twoją, będę twoją.
Żadne siły nie rozdwoją,
Jako fali jednej rzeki!

JORDAN.

Popłyniemy tak na wieki.
Jam na wieki twój — tyś moją!

(Jordan zbliża się, podaje rękę, chce ją uścisnąć — postać kobiety znika. Jordan przebudza się.)

II.

. . . . ye may
Read, or read not, what I am now essaying
To show ye what ye are in every way.

. . . .
By those who love to say that white is black.
So much the better! — I may stand alone,
But would not change my free thoughts for a throəu.

*
*   *

Czy widziałeś ty szatana
W własnej piersi, gdy zagości,
I obejmie władzę pana,
I panuje bez litości?
Zrobi z duszy twej ciemnicę,
Zgasi Boskich prawd pochodnią,
I zasępi zbrodnią lice,
I poczerni serce zbrodnią.
Każdy dzień twój, każde chcenie,
Jak indyjskich krzewów cienie (1),
Truć cię będą — duszno, ciasno.
Wszystkie gwiazdy życia zgasną,
Tylko świeci wzrok szatana!
I niech tylko jedna zbrodnia
Nie skruszona pierś obwinie,
To już potem nowa co dnia. —
I pierś zmieni twą w pustynię,
Gdzie syczących wężów stada

Będą gośćmi powszedniemi;
I ucztować będziesz z niemi;
I wylęgną się w plemiona —
I wipiją boskość z łona —
I skończona już biesiada! —
Wtenczas, wtenczas duszy biada!
Aż nakoniec pierś styrana,
Ciężkiej próbie ulegając,
I bolejąc, i wzdychając,
Łzę, westchnienia, szle do Pana,
I pokorą czynu, ducha,
Boski ogień w niej rozdmucha,
Łzą, westchnieniem, brudy łona
I oczyszcza i obmywa;
I przez Boskie te ogniwa
Dusza z ciemnic wybawiona!
Bóg też dojrzy, spojrzy na nie,
Przyszle piersi pozdrowienie,
Przyszle sercu uleczenie,
Przyszle duszy zmartwychwstanie!

*

* *

Słuchajcie bracia o! gorzkiej piosenki.
Ale ten kielich wypróżnić raz trzeba.
Ja go spełniłem, i boleści męki
Dobru waszemu i na chwałę nieba
Z pokorą ducha składam u ołtarzy —
U serc ołtarzy, w których głębokości
Nadziei ziarna, wiary i miłości!
Tym sercom składam, w których jeszcze drzemie
Boskość przeczysta, i to święte imie
Chrztu wznowionego, w świętym chrzcie cierpienia;
I którzy krzyża talizman odgadną,
I w życiu swojem swe życie owładną,
I całą duszą zapragną zbawienia!...
I tym, co oczy zaprószone zmyją,
Serca wykąpią w świętych źródłach wiary;
Co z męztwem kielich goryczy wypiją,
Nie przez chęć nagród, ni przez bojaźń kary.—
I składam jeszcze tym sercom niewinnym.

Których duch jeszcze w pieluchy obwiciu
Rozwija loty ku pełnemu życiu,
By zrobić szczęście i sobie i innym.
Nie wznoście żalów za ten napój gorzki.
Aby wyzdrowieć, dostać się do nieba,
Trzeba pokuty, i goryczy troski.
Tak, gorzki kielich wypełnić nam trzeba!

* * *

BANEK. JORDAN TYLKO CO PRZEBUDZONY ZE SNU.

Wieńce i kwiaty — całuny,
Sen i jawa — jawa, sen —
Dwóch przestrzeni, dwa bieguny
Niedojrzanych oku den!

Ziemskie człowiek wziął spojrzenia,
Poplątane pasma marzeń,
Tło dziedzicznych wyobrażeń,
Mięszanina światło-cienia —

Lecz gdy święcie, niewidzialnie,
Lekko, duch w kraj ducha wpłynie,
O, dopłynie aż w świątynie,
Gdzie duchownych min kopalnie!

I ziemskości kajdanami
Brzęknie, ciśnie, w proch rozwali,
Ocz duchownych blask rozpali,
I z ciemności otchłaniami
Na wiek wieków się rozpada!

Rzuca biedne swe sieroctwo,
Nie boleje już, nie strada:
Bo już świętych słów proroctwo
Pierś rozdartą ma na pieczy,
Już świętego słowa ciało
W jego piersi zamieszkało!
I rozpięty umęczony,
Bolejący duch człowieczy,
Na wiekowych krzyżu bezpraw
Tryumfalny, oświecony,
Przez piekielnych otchłań przepraw,
Przez ucisków, jęków tonie,
Przez głód, nędzę, łzy ludowe,
Duch ludzkości szedł w obronie,
I wywalczy życie nowe!

Tryumfalny, oświecony,
Na dziejowe w biegł zagony,
W balsamicznych zdrojów ścieku! —

Djabli w piekle nic nie wiedzą,
Po dawnemu w smole siedzą;
Lecz to wiedzą dzieci wieku! —

SALON MARSZAŁKA ĆWIKA.

Selten wurde ich verstanden —
Selten auch verstand ich euch;
Nur, als wir uns im Koth fanden,
So verstanden wir uns gleich. —

Heine.

(Wieczór. Towarzystwo mężczyzn. Piją herbatę, palą cygara i grają w preferansa. Prot wchodzi.)

MARSZAŁEK ĆWIK (do Prota.)

Słyszałeś kiedy o takiej facecji?
Osiem bez atu, i zgadnij, bez wielu?

PROT.

Bez ośmiu.

MARSZAŁEK ĆWIK.

Cóż drwisz? przyjacielu!
As i dama kierowa; król pik samotrzeci;
Król, dama, walet karo; i tref as, król, dama —
Byłem bez czterech! to rzecz niesłychana.

PROT (poziewając).

O i mnie spotykała facecja ta sama.
Dawno już gracie?

1-szy z GRAJĄCYCH.

Od samego rana.

PROT.

Więc życia używacie.

2-gi z GRAJĄCYCH.

Tak sobie po trochu.

3-ci z GRAJĄCYCH.

O wynalazku nie myślimy prochu.

4-ty z GRAJĄCYCH.

Gram.

1-szy z GRAJĄCYCH.

Pas.

2-gi z GRAJĄCYCH.

Pas.

3-ci z GRAJĄCYCH.

Ja powistuję,
I, tak jak myślę, będziesz w ambarasie.

4-ty z GRAJĄCYCH (odkrywa.)

Dwie tylko bierzesz. (Kasuje swoje bety). Wszyscy
na atłasie.

MARSZAŁEK CWIK.

Nie bardzo wszyscy — jam siadł na kitaju
I dziś się zgrałem.

3-ci z GRAJĄCYCH.

To już ze zwyczaju,
Ty z nałogu przegrywasz, i to ci do twarzy.

MARSZAŁEK CWIK.

Być może. Wszakże ja przez ekonomją
Tym razem handlowałbym na twą fizjognomią.
Wprawdzie psia trochę, lecz się z wygraną kojarzy
I im więcej wygrywasz, tem jesteś piękniejszy.

3-ci z GRAJĄCYCH.

Ty przy każdej przegranej jesteś dowcipniejszy.

PROT.

Dalibóg widzę jest ruch umysłowy,
I głębokość pomysłów, i nowotność dykcji.
Jabym pudla mojego postawił w ewikcji,
Że on do psa podobny jak dwie krople wody.
Trochę ma może za wiele urody!

3-ci z GRAJĄCYCH.

Rozdobruchał się bestja, zaczyna dojadać;
Lecz nie będę się gniewać, kiedy będziesz gadać:
Bo lubię, gdy się twoje myśli rozhulają,
I wtenczas nie pamiętam o żadnej obrazie.
Lecz powiedz, jak też oni tobie wyglądają?

PROT.

Wszyscy niestety! jak bydło przy brazie!

3-ci z GRAJĄCYCH.

Przyjdzie nam z tobą pohandlować miano.

PROT.

To ty niby masz szczekać, a ja mam jeść siano?

3-ci z GRAJĄCYCH.

Nie — przeciwnie — przyrzekłeś pod słowem, solennie,
Że przy pierwszem widzeniu najczulszą balladę
Będziesz improwizował — embarago więc kładę
Na twe słowo — i musisz nasz wieszczu płomiennie
Spiewać pieśń o gorących zapałach miłości,
O ofiarach niewieścich, serc mękach, stałości!

PROT.

Złapałeś jako djabeł Twardowskiego duszę,
Smutna konieczność, której uledz muszę!

(Odsuwa krzesło. Wszyscy w oczekiwaniu. Rozparty na poręczach poczyna improwizować.)

Hej dymu hawańskiego! bo wena wytycha,
Trzeba się upić narkotykiem dymu.

(Pauza. Podają cygaro, które chwilę pali).

Tfu! słaby nektar, daj jeszeze kielicha!
O dym i wino! — a pianego rymu
Dorzucim trochę, to i bankiet będzie.

(Pauza — pije wino).

Mózg się rozhulał i czaszki krawędzie
Rozpycha—będziemy z piasku bicz kręcić.
Ha! gdyby z wina i dymu obłoku
Coś skręcić, uprząść, i lunąć w potoku,
I mózgi wasze i myśli zamęcić!
Potok się wzdyma! płyń ubitym torem—
Sat sapienti! auditor fecit oratorem!

1-szy z GRAJĄCYCH.

Dalibóg mógłby wyjść na Sarbiewskiego.

2-gi z GRAJĄCYCH.

O, pewno jeszcze przewyższyłby jego!

PROT (improwizuje dalej).

Rzecz począć—resztę niech wino dogada.
Nuż może pryśnie romans lub ballada.
Jest u myśliwych wyborne przysłowie,
Które chcę spełniać jak słowo pacierza:
Kiedy myśliwy nosi flaszę w głowie,
To w torbie swojej będzie nosić źwierza.

Już czuję flaszę pod czaszki sklepieniem,
To i źwierz będzie—już wino promieniem
Przejrzystym strzela i rymów kaskady
Lecą po głowie — ha! będą ballady.

BALLADA.

Raz nad strumieniem stała dziewczyna,
Plotła wianki z niezabudki.

Na drugiej stronie młody chłopczyna
Robił piszczałki i dudki.

Ona mu chciała oddać ten wianek
W zakład jej serca i ręki;
A on na dudce, czuły kochanek
Opiać jej cnoty i wdzięki.

Dziewczyna wianek czule układa,
To oczkiem za rzeczkę strzeli —
Aż w tem wianeczek z rączek wypada
I w wodnej znika topieli.

Ona krzyknęła—głos echem wionął,
A chłopiec rzucił się wpław,
Płynął i płynął—w końcu utonął.
Ach jaki smutny to traf!

(Kilka głosów z uśmiechem).

Jak to pięknie! jak to czule!

PROT.

Cicho! milczcie wy cebule!
Słyszcie, patrzcie, ot ballada
Płynie, leci jak kaskada,
Z Alp mozgowych z szumem spada.
Jeszcze słyszę szmer tej fali,
W której chłopiec z dudką w ręku,
Śród spienionych wód obłęku,

Zginął. Chłopca nie dostali!
Gdzież się podział?—kto ciekawy,
Niechaj sobie rzeczki spyta,
Może go ryba pożarła?
A gdzież dziewczyna?—umarła!
Bo nie przeżyje kobieta
Skonu kochanka—chyba śród zabawy,
Lub skóro inny kochanek
Przyjmie i odbierze wianek.

MARSZAŁEK ĆWIK (z powagą).

To jest prześlicznie—to jest w duchu czasu,
To najlepsza poezja, jak ja pojmuję,
Kiedy ja czytam ją bez *ambarasu*,
To jest, czytajac gdy się nie morduję.
To jest prawdziwa realna poezja.
Ale te wszystkie gorączki mozgowe,
Co egzaltują i serce i głowę,
I umysł krzywią, to czysta herezja!

PROT (z ironją).

O! tak, poezja musi się odmienić,
I wszystkie chwasty z swej grzędy wyplenić,
Musi raz jeden przecie się ocenić,
Musi rozwikłać dziwaczną zawiłość,
Z zdrowym rązsądkiem sprzeczną i z naturą.

Ja nie pojmuję prawdziwie tych ludzi,
Co dobrodusznie wierzą jeszcze w miłość,

Z całą bogatą jej nomenklaturą:
Platonicznej-—eterycznej?
To już wytchła nóta!
Już czas bardzo niedaleki,
Gdzie będą mówić o tych miłościach
Tak, jak o cudach, albo o kościach
Dawno zmarłego Mamuta!

Wzdychająca Petrarkowa czereda,
Z całym sankiulotowym orszakiem
W obywatelskich rozkochana córach,
Lecąc ubitym już szlakiem,
W intellektualnym świecie
Zostanie jakąś bezsensów myrjadą,
Lub głośną w dziejach ludzkości facecją.

KILKA GŁOSÓW.

Tak jest, facecją! wielką facecją!

PROT.

Uczucia i uczucia!
Tak pełne serca a puste kieszenie —
Z czczego żołądka płyną wtzystkie ideały —
To jedna może w naturze próżnia.
Jest to dzwon pod macihną pneumatyczną głodu.
Smutny transcedantalnej fizyki fenomen.
— Ach pomnę dawno przed laty:
Sławny w Mińsku Fizyki nauczyciel
Wielmożny Słabniewicz!

Na egzaminach publicznych corocznie
Pod szklannym dzwonem wróbla jednego umarzał!

Wróbel był smutną nauki ofiarą!
Widziałem—pomnę—biedne stworzenie.
Otwierał dziobek, chwytał powietrza ostatki,
Skrzydełkami wywijał, chciał lecieć,
Spadał na siłach i konał nieszczęsny!
Smutna nauki ofiara!

Lecz widok smutniejszy daleko,
Kiedy pod eterycznym dzwonem ideału
Ulatnia się z westchnieniami życie
I kona pod nim wróbel-poeta,
Lub grzeczniej, poeta-słowik!
Ach! i co stokroć jest gorsze,
Wyuczy westchnień cór obywatelskich',
I wyuczy piosenki księżycowo-słowiczej,
Marzeń różowych i liljowej tęsknoty!
A potem nawet, gdy i zapomną o wszystkiem,
Gdy czary romantyczne rozwieje fartuch kucharki
I gdy w rozsądne powiążą się stadła,
I gdy matkami zostaną,
Skarżą się nad łożem mistrzynie obrzędu,
Że nowa matka ma osłabiony
Systemat nerwowy i jest w niebezpieczeństwie.
Nie wartoż na wieczne puścić zatracenie
Wszystkich poetów ze wszystkiemi ich
Myślami, czuciami, przeczuciami,

Pobrać ich do domu warjatów,
Powywieszać.
Wyłupić oczy jak Homerowi,
Lub na więzienie skazać jak Tassa
Lub do domu warjatów tak jak Kamoensa,
Umorzyć głodem jak Grabego?
To burzyciele jej spokojności,
Podżegacze, siepacze, mordercy,
Tyrani!
Wszystkie ich książki popalić przez kata,
Jak książki Roussa.
I zabronić wszystkie książki,
Wszystkie książki zabronić,
Wyjąwszy gospodarskie Szytlera,
A można jeszcze zostawić Kurjera!
O wtenczas ludzkość szczęsnym ucieszy się stanem,
Rozkwitnie zdrowia błogością,
Zdrowia! co nam ach ciągle ucieka!
O! spójrzmy na twarze nasze
I porównywajmy z przodków wizerunkiem,
Rumianych, . . . szczęśliwych.
My z niemi porównani—szkielety.
My przez tydzień nie zjemy tyle,
Co oni na jedno śniadanie,
I dnia jednego tak nie przeżyjem wesoło,
Jak oni całe życie!
Ach życie nasze! ach życie!

(Starzy zaczynają płakać, młodzi w różnych kierunkach salonu przechadzają się.

JEDEN STARY (łkając.)

To człowiek, który jasno rzecz widzi.

MARSZAŁEK ĆWIK.

(z powagą, zamyślony, oczy w górę).

Kompletny człowiek! jakie myśli wielkie!

DRUGI STARY.

To osobliwość! to rzadki wypadek,
Żeby tak skończonego napotkać człowieka!

(Wchodzi kilka nowych postaci, które się popularnie witają).

MARSZAŁEK ĆWIK.

(zwracając mowę do przybyłedo młodzieńca OSKARA.)

Czy wiecie, że ten głupiec tak jest rozkochany,
Ach żal mi bierze: bo chłopiec kochany,
Jak go widzicie — wszak znacie Oskara.
Jeszcze pół biedy, gdybyż ludzka para,
Lecz w jednej pannie, co nie ma feniga —
I tak się ucukrował miłością, jak figa!
I taki słodki, takie czułe serce,
Jak w grającej tabakierce.

PROT.

To czarnoksiężki kluczyk jej źrenicy
Tak wyuczył serce grać.
Zamiast tonów, ciemierzycy
Gdy czas wsypie, będzie czchać! (*)

OSKAR.

Znacie mą przyjaźń, ale tutaj wara!
Tu jest granica przyjaźni Oskara.
Ja cudniejszej istoty nie widziałem w życiu.

MARSZAŁEK ĆWIK.

(deklamuje z affektacją).

„Jednakowa nam gwiazda świeciła w powiciu;
Równi; choć różnych zdarzeń wykształceni ciekiem,
Postawą sobie bliscy, jednostajni wiekiem“ . .
. . . .

STARY ROTMISTRZ.

Dobre i żarty, piękne deklamacje ;
Lecz trza rzec prawdę, nie szkodząc nikomu:
Panna się rodzi z poczciwego domu,
Rodzice piękną dali edukację,
A Pan Bóg także nie poskąpił wdzięku.
Ja sam ją małą nosiłem na ręku,
Wzrostu jej świadkiem! i widziałem wzory,
Jakiemi w domu jej serce karmiono.

(*) Wyrażenie prowincjonalne, zamiast kichać.

To anioł ciszy i anioł pokory,
I najcnotliwszą pewno będzie żoną.

MARSZAŁEK CWIK.

Jak mnie obrzydła ta kobieca cnota!
Cnotliwą klempą jest i moja żona,
Lecz dla niej zwolennikiem zostałbym Platona.
Każdy jej uścisk jest grzechem Tyssota,
I smutne życie każdego momentu
Grzeszyć przeciw Doktora albo Sakramentu!

1-szy z GRAJĄCYCH.

Wybornie! brawo! jak on mówi ślicznie!
Z jaką nauką! jak metaforycznie!

MARSZAŁEK ĆWIK.

Pretensji żadnej nie mam do nauki,
Lecz i my wszyscy nie Salomonczuki.
Jesteśmy sobie podjezdki mierzynki,
Co to cesarz francuzki w swoich pamiętnikach
Koniak nazywa. Zaczniemy od kpinki,
A potem możem skończyć na żarcikach.
Lecz też nie można i z nas tak żartować —
Też coś umiemy —

(kartując karty).

naprzykład tassować;
I to nie wszystko—także grać, passować.

2-gi z GRAJĄCYCH.

Jeszcze nie wszystko—bo i urzędować.

MARSZAŁEK CWIK *(figlarnie).*

To jest przymówka; ale mniejsza o to.
Takie myśli wiadomo, że szkodzą dygestji,
Nie są bynajmniej hygieniczną cnotą.
Ale powróćmy do żywotnej kwestji:
Małżeńskie śluby, to wymysł piekielny;
I to być musi dodatek kościelny,
To apostolskiej jest wymysł stolicy.
Ot papież jakiś dla swej synowicy,
Którą zbyt kochał i pragnąc jej szczęścia,
Sakramentalne wymyślił zamęścia.

3-ci z GRAJĄCYCH.

Myśl bardzo wielka—wyrwałeś mi z głowy!
I słowo w słowo, jam przysiądz gotowy,
Że tak istotnie miało się przed laty.
Nadto i te i owe z małżeństwa intraty;
Lecz to mem zdaniem kosztowny Sakrament.
Cóż o tem Nowy powiada Testament?
Bo wyznam szczerze, jam człowiek otwarty,
Że ja zeń dotąd nie znam jednej karty.

MARSZAŁEK CWIK.

I ja nie biegły w tej literaturze.

(Do 2-go z grających)

Lecz ty znać musisz, ile sobie wróżę:
Bo jesteś bardzo małżonek wzorowy,
Lecz się czy dosyć masz tylko na pieczy,

By nie przypięto coś czasem do głowy?
Masz żonę—wprawdzie.... jako Salamońskie rzeczy?
Lecz to rzecz najmniej jest sakramentalna.
Jakże jest z resztą?

3-ci z GRAJĄCYCH.

Dalibóg fatalna!
Nudniejszej bestji nie widziałem w świecie.
W niej ujrzysz żonę twą w żywym portrecie.

MARSZAŁEK ĆWIK (z ironją).

Czy nie chcesz czasem kijów pokosztować!

4-ty z GRAJĄCYCH.

Może i mojej chcesz broni sprobować?

STARY ROTMISTRZ.

(z powagą i nieukontentowaniem).

Styrałem pierś mą na kraju usługi,
Ale w piękności i cnoty obronie,
Wiem, że ją godnie jeszcze dziś odsłonię—
Starą piersią im spłacę młodości mej długi!
Wy jeszcze wtenczas byliście pisklęta.
Wielu z was jeszcze nie było na świecie,
Kiedy ja byłem w młodości mej kwiecie.
O! wtenczas więcej było w sercach święta,
Więcej godności w męzkim charakterze,
I więcej prawdy w uczuciach i wierze.
My wszyscy prawie byliśmy żołnierze,

U nas nie miano kobiet w poniewierce,
Mieliśmy wtenczas i my młode serce,
I kobieta cnotliwa była nam aniołem,
Balsamem życia, nędzy i duszy połową,
I w naszych sercach uczuć szlachetnych żywiołem,
I osłodą boleści wiszących nad głową.
I ja kochałem, i ja byłem młody.
I ja pragnąłem przestrzeni, swobody.
Człowiek starzeje i w grób się położy,
Lecz młody zawsze żyje w nim duch Boży,
Póki człowiekiem! —
Póki nie zbydleje:
Bo wtenczas z wszystkich on uczuć się śmieje—
Wy się młodzi śmiejecie z świętości uczucia—
Czy to zyski mądrości? czy może zepsucia?
Wy pewno mędrsi- lecz powiedźcie mnie,
Czy pamiętacie, co tam napisano:
Po ich uczynkach rozpoznacie je?—
Was po uczynkach jeszcze nie poznano;
Ale i na was przyszłość sąd wywoła,
Czas zbierze czyny na dziejowy wieniec,
I wieczny wstydu sromotny rumieniec
Bezwstydne serca okrasi i czoła!—

PROT.

(ze szczerością, rozrzewniony całując ramie).

Rotmistrzu! cześć ci niosę z rozrzewnieniem syna!
W ustach twoich, Rotmistrzu, prawdy święte słowo.

Z mogiły deskę odwalasz grobową,
By słyszeć jęk grobowy, co nas upomina!
(*Towarzystwo całe pomięszane. Rotmistrz rozrzewniony odchodzi. Prot wychodzi do drugiego pokoju z boleścią i goryczą*).

Ach Boże! życie moje — i cóż z tego życia?
Jeszcze żyjąc, odbywam wczesny proces gnicia,
Dzielę śmiech brudnej zgrai! i toż moje dzieje? —
Czyliż ja, tak jak oni, me życie prześmieję,
I oddam je bydlęcym uciechom w ofierze?

A gdzież pierwszych dni moich najświętsze nadzieje?
Dźwigające wysoko młodych uczuć pierze,
Które młodego ducha w daleką żeglugę
Sposobiły na kraju i braci usługę?
Toż życie, pasożytnie, tak marnie przeminie,
Jak chwast podły na świętej ludzkości dziedzinie?

Ach! jak straszne męczarnie, lecz tak zasłużone,
Okropnie pierś mą dojmują i tłoczą,
Gdym sam swym sędzią, gdy zdzieram zasłonę,
Gdy się w myśli pamiątki przeszłości jednoczą!

Czuję, jak życie moje brudną piję czarą,
Gdy nić złotą nadziei, świętych chceń młodości,
Wiążę z nicią obecną pogniłą i szarą!

Ô! każdem drgnieniem serca i widzę i czuję,
Jaką kawę żywota dla siebie gotuję,
Na której będzie jedno wyszycie podłości!

—Gdybymż jeszcze samotny został na tym szlaku,
Czułbym karę za grzechy; i rzecz wypłacona;
Lecz w licznym pobratymców widząc się orszaku
I bujnie chwastów krzewiące nasiona,
To serce pęka—i czemuż nie pęknie?
Jakimże cudem tyle bolów mieści?
Na strasznym sądzie słuchając powieści
Pan Bóg się zdziwi i piekło się zlęknie.
Znać podłość, z całą wzgardą brzydzić się podłością,
A jednakże być podłym! o! tego za wiele!

Ach! wieleż razy łzami zmywałem pościele,
I jutro miałem zostać zupełnie czem innem!
Czemże dotąd zostałem!—nikczemną nicością!
O! mniej niż nicość!
(*z największą ironją*).
bo nicością się wiedzącą,
Żałującą bez skutku, bez skutku płaczącą!
(*Ociera łzy*).
Lecz raz potrzeba dopełnić zagadki.
Jam gotów byt mój poszarpać na szmatki!
Niech będę choć jak gałgan od plastra do rany.
Lepszy jest gałgan z płótna niżeli gałgany!...
(*Porywa za kapelusz i wychodzi*).

MARSZAŁEK CWIK I RESZTA TOWARZYSTWA.

MARSZAŁEK ĆWIK.

Hej! cygar!

(*Służący przynosi cygaro*).

3-ci z GRAJĄCYCH.

Lecz gdzież nasz Procio kochany?
Prybądź, kochanku!—tęsknimy do ciebie.

SŁUŻĄCY.

Długo tam siedział, coś mówił do siebie,
Płakał i wyszedł, jakby rozgniewany.

MARSZAŁEK CWIK.

Wybornie! to lubię!
Polska natura—jak tylko ma w czubie
Wnet do romansów! Tak było i ze mną.
Nawet do nieznajomych kochanek płakałem,
Gdy nie było na jawie—

(*udając czułego*).

i czule wzdychałem!

2-gi z GRAJĄCYCH.

Dziś tego nie dokażesz.

MARSZAŁEK ĆWIK.

Tak, już dziś daremno!

3-ci z GRAJĄCYCH.

To już z wiekiem natury pozbyłeś się polskiej.

MARSZAŁEK ĆWIK.

Dzisiajbym łatwiej wzdychał—do krowy tyrolskiej!

(*Śmieją się*).

3-ci z GRAJĄCYCH.

Biegun sercaś skierował ku bydlęcej drodze.

MARSZAŁEK ĆWIK.

I skłonnością ku tobie już tego dowodzę.

(*Śmieją się*).

1-szy z GRAJĄCYCH.

Lubię, gdy oni tak się ujadają.

2-gi z GRAJĄCYCH.

Ale się przytem serdecznie kochają.

MARZAŁEK ĆWIK.

Czy jeszcze będziem grać?

3-ci z GRAJĄCYCH.

O, nie, już późno.

MARSZAŁEK CWIK.

No, to pójdziem spać. —

(*Rozchodzą się*).

ANIELA I WALERY (*krewny* ANIELI).

WALERY.

Powiedz mi siostro, po bratersku, szczerze,
Widzę od dawna, jak się ty zmieniłaś;
Zda się, że w przyjaźń z troskami zażyłaś —
I w oczach troska, w humorze i w cerze.

ANIELA.

O mój Walery! ty jeden na świecie
Mojego serca, myśli powiernikiem.
Na całym świecie ni słowa przed nikim.
Taka samotność!

WALERY.

A tak ludno przecie!
Tylu brzmią słowy codzień każde usta!

ANIELA.

Tak, usta pełne, a pierś ich tak pusta!
Ach! ileż bolów dla serca na świecie!
Powiedźcie bole czemu nie zaśniecie?
Skąd na was taka bezsenność!?
Wy jako gwiazdy na niebios przestworzu.
Patrzycie w serca bezdenność,
Kąpiąc się we łzach serca, jako gwiazdy w morzu!

WALERY.

O siostro! ja znam boleści otchłanie,
Spełniłem liczne goryczy kielichy,
Nie na jednym nadziei płakałem kurhanie.
Ale twojego życia strumień cichy,
Śród kwietnych dolin igrając młodości....

ANIELA.

Serce me otchłań wypiło miłości.
Dziś tobie wyznam ze szczerością siostry.
Bądź moim sędzią, bądź surowy, ostry,
Lecz sprawiedliwy.
Ja kocham Jordana...

WALERY (*z surowością*).

Ja twój sędzia—kodeksów rozniecam pochodnię;
Sądzę surowo, że te twoje zbrodnie....

(*łagodnie*).

Są bardzo piękne, Anielo kochana!
On równy zbrodzień—oboje zbrodniarze
Podług serca kodeksu musicie być w parze!
To wyrok rozważony na Temidy szale.

ANIELA.

Żartujesz ze mnie?

WALERY.

Nie żartuję wcale.

ANIELA.

Ileż szczęśliwa, gdybym mogła wierzyć,
I żagle wiary swobodnie rozwinąć,
I bez obawy w serce jego płynąć,
I sercem w serce uderzyć!...
Czemuż wątpliwość pajęczą nić snuje?
Czemuż on nie chciał nigdy mi powiedzieć
Tego, co serce takby chciało wiedzieć?
Taki szlachetny! mógłżeby być skryty?
Lub dumny? Czemuż nie chciał swych uczuć
ogłosić?
Wiem, że ma serce płomienne — i które
Kochać musi. On mówił, że kocha naturę —
Kwiaty — obłoki —
że kocha kobiety,
Jak najpiękniejsze z kwiatów przyrodzenia,
Jako najwyższe piękności odcienia;
Że miłość tylko jest na ziemi szczęściem—
—A niewzajemność—dodałam—nieszczęściem. —
A on rzekł: kochać byłoby nikczemnie
Dla tego, by nas kochano wzajemnie;
Że sam widok piękności już nas uszczęśliwia;
Że są rozkosze wyższych ducha światów.
Dla czegoż nie prosimy o wzajemność kwiatów,
Ani obłoków, ni gwiazd, ni księżyca,
W których wzrok tonie i duch się zachwyca?
Gdyby do tej, co kocha, miał proźby zanosić,
O jedno tylko—mówił—chciałby prosić;

By tylko była szlachetną i piękną;
By godną była, by ją wiecznie kochać;
Tak karmić serce uczucia bogactwem.
Lecz najsmutniejszem z żebractwa żebractwem
Jest o wzajemność albo miłość prosić.—
I on to mówił z tak wzniosłą godnością!
Chwytałam słowa w mej duszy objęcia.
Lecz miłość taką możnaż zwać miłością?

WALERY.

Ach, tak—to wasze przechodzi pojęcia—
Dla serca twego myśl za ciemna trocha.
Lecz to jaśniejsza, że on ciebie kocha?
Nie prawdaż?—i zakończmy na tem.
Wybacz mi, siostro! mam dziwne nałogi:
Strasznie mię nudzą długie dyalogi,
Więc rzecz skończona—ja będę wam swatem,
Drużkiem—czemż jeszcze—marszałkiem wesela!
A na weselu będzie weselsza Aniela?

(ANIELA *całuje* WALEREGO. WALERY *odchodzi*).

ANIELA (*sama*).

Swiętych mych uczuć wysłuchały Nieba—
Jordan mię kocha—nic mi już nie trzeba!
Jakżem szczęśliwa, że rodzice moi
Równie ocenić Jordana umieją!
Do smutnych życia mojego podwoi
Wszedł promień słońca z szczęśliwą nadzieją!

W PIECZARZE.

PROT, JAN, WACŁAW, WITOLD, BOLESŁAW, WALERY I INNI.

PROT.

Nie; nie podobna nam, tak zostać dłużej!
Czyż będziem jako warstwa podłej ziemi,
Którą pług losu tak boleśnie płuży,
A kędy szatan chwasty swe rozpleni?
Jakimże plonem zakwitnie błoń w wiośnie?
Czyż mamy więdnąć w młodości rozkwicie?
Czyliż bezczynnie, podle strwonim życie?
Albo je będziem oszczędzać, jak tchórze?
I będziem czekać, aż hańba w nas wrośnie?
I wdziejem hańby na siebie obrożę?

WALERY.

I w piersi własnej wykarmim przeklęstwa,
Co nasze życie i nasz grób ogarną?

JAN.

Na to większegoby potrzeba męztwa,
Niż oddać życie na rzecz nawet marną.

WACŁAW.

O, tysiąc razy!

WITOLD.

I cóż z tego życia,
Co w każdem serca drgnieniu upomina
O grzech, że żyjesz, że patrzysz, że czujesz,
Że z daru życia szydzisz i żartujesz?

. . . .
. . . .

BOLESŁAW.

I gorsza jeszcze! — bo życiem użyzniasz
Ziemię, na której podłe zielska wzrosną.

. . . .
. . . .
. . . .

KILKA GŁOSOW RAZEM.

Tak, być lub nie być—oto nasze znamie!
Przekléstwo temu, kto tym słowom skłamie!

KILKA GŁOSÓW.

Jaki to tętent?

KILKA GŁOSÓW.

Nic wcale nie słychać—

GŁOS JEDEN.

Drzwi są zaparte.

KILKA GŁOSÓW.

Wyraźne tętnienia—

GŁOS ZEWNĄTRZ.

Drzwi te wysadzę, choćby i z kamienia,
Choćby z granitu—tak!—wysadzić muszę!

WITOLD.

Co słyszę? brat mój!

JAN.

Jakaś awantura
Zda się na wstępie do nas się uśmiechać.

HENRYK (za drzwiami).

Ha! ledwo siły staje mi oddychać!
Tylu ciosami płodna czarna chmura!

KILKA GŁOSÓW.

To głos jego wyraźnie.

HENRYK

(*bije we drzwi—drzwi się otwierają—Henryk wpada pijany*).

Co za czary!
Anim śnił znaleść takie zacne grono!
Co wy robicie tu, śród tej pieczary?
Czy was tu równie tak jak mnie wpędzono?
Słuchajcie, powiem wam dzieje okropne!
Jeszcze ze strachu cały prawie topnę!

WITOLD (z żalem).

Henryku! zawsze takie pędzisz życie....

HENRYK

(*nie zwracając wcale uwagi*).

Trochem ochłonął. Oto, jak widzicie,

Z najokrokniejszej wyrwałem się matni!
Ale już dosyć=to już raz ostatni.
Nigdy się więcej nie wdam w konspirację.

KILKA GŁOSÓW.

Cicho, co ty to mówisz?

HENRYK.

Tak, mam rację!
Dalibóg, przecież nie jestem szalony?
Słuchajcie prawdy czystej tak jak złoto:
Znacie Franusia — to jest cud wcielony!
Biedak się w Zosi rozkochał po uszy,
I jej też równie przypadał do duszy—

Znacie hrabię Fioli—to wcielone błoto—
Zęby wstawione—jedno oko szklane—
Materace od garbów—nogi watowane—
Takoż do domu panienki się wkręcił,
I też podobał i jak pies się wnęcił!
A mama rada, bo Fioli hrabia—
Tysiąc grzeczności!—zwykła płaskość babia—
I Zosi mówi: hrabia człek dostojny,
I dobry, miły, grzeczny—i przystojny!—
A niech cię djabli!—bo o pierwsze mniejsza,
Lecz każda małpa od hrabi piękniejsza.
Jako Bóg w niebie, tak to prawda szczera.—
A Franuś biedak z miłości umiera!
Trzeba Franusia, myślę, wziąść w kurację.

Więc zawiązuję zaraz konspirację.
Poczekaj hrabio — najtrefniejszy Dandy—
Będziesz ty dyndać! —
Więc dla propagandy....

WACŁAW.

Cicho, co mówisz?

HENRYK.

Towarzystwo tworzę!
Gdy konspiruję, tom w cudnym humerze!
Im bardziej w głowie idea dojrzewa,
To potop myśli głowę mi zalewa —
Nie mogę portu śród potopu zdobyć.
Jedno nieszczęście, że nie wiem, co robić;
A gdy się nawet najlepiej uradzi,
To jakiś łajdak, albo tchórz, nas zdradzi,
Albo głupstw takich okropnych narobię,
Że mym spiskowym zaszkodzę i sobie!
Staś, Jaś i Józio, Wincenty, Hilary,
Piotr, Michał, Paweł i Antoni stary,
Wszystko, co żyło, było w konspiracji;
Nawet i dżokej hrabiego Fioli!
Umowa była, aby po kolacji
Wpaść do sypialni hrabiego powoli,
Skraść materace, i zęby, i oko!—

Już noc naturę swą mroczy powłoką—
Chwile w gorączce nadziei się wloką—
Dano kolacje!—nic w usta nie wziąłem—

Hrabia w humorze! ciągle się wyszczerzał—
A Franuś, zda się, na stypie wieczerzał,
Jak upior jaki! ja aż się wzdrygnąłem,
Aż spojrzę, hrabia wyszczerza swe zęby—
O — myślę sobie—tego już za wiele!
Bogowie! rzekłem, wy zbrodni mściciele!
I z lekka, z cicha, wkładam me paluszki
Do wyszczerzonej pana hrabi gęby—
Hrabia się zdumiał, a zęby jak gruszki...
Zęby jak gruszki? to złe porównanie –
Mniejsza z tem—chęciom zadosyć się stało!
Zęby wypadły—hrabia wzrok rozszerzył,
Tak, że i szklanne oko mieszkać tam nie chciało—
Lecz jakby piorun hrabiego uderzył—
Woła dżokeja—za mną się wysadził
I on i dżokej—oba mię ścigali—
Dżokej, choć w spisku, ale łotr mię zdradził!
Niechajby tylko ten raz mię złapali,
To jużbym więcej nie chodził po świecie!
Szczęściem tu wpadłem!
A co? teraz wiecie?

WITOLD.

Wartoż życie i godność dla błahego celu
Rzucać pod nogi?

HENRYK.

A to wyśmienicie!
Jam na Franusia chciał tańczyć weselu,

Nie chciałem zginąć pozwolić kobiecie
Takiej, jak Zosia.

WITOLD.

Któżby mógł ją zgubić?

HENRYK.

Mogłaby z czasem hrabiego polubić—
No—nie polubić, zostać jego żoną,

WITOLD.

Gdyby do tyla mogła być spodloną,
By się przedała dla złota, imienia,
Godna pogardy, nie zaś poświęcenia.

KILKA GŁOSÓW.

O, godna wzgardy, przeklęta kobieta,
Co topi serce w mamony czcicielu!

HENRYK.

Jesteście głupcy, powiadam, i kwita!
Jam na Franusia chciał tańczyć weslu,
I chciałem również Zosi ocalenia.

PROT.

(*pomięszany wpadnięciem Henryka*).

Żegnam was, bracia!
(*Wszyscy żegnają się, dając znaki symboliczne*).
Jutro—do widzenia!

WALERY I RODZICE ANIELI.

WALERY (*sam*).

Dzisiaj wiek czynów! o, powstańcie czyny!
A zgińcie myśli! bo z temi myślami
Przychodzą smutki, potem niemoc, spliny.
Ja nie chcę myśli, będę żyć czynami!

(*Po pauzie*).

Ale bez myśli cóż z tych czynów będzie?
Jakże więc począć?—więc i myśleć trzeba.
Więc te myśli przeklęte potrzebne są wszędzie?
Jaka to nudna rzecz myśleć — o nieba!
I trzeba zgłupieć wśród tej sowiej sfery!
Lecz nigdyż nie myślili przecie bohatery!
Czynami naprzód szli zawsze w zapasy.
Jakie to głupie nastały dziś czasy!

(*Postrzega rodziców Anieli i udaje zamyślonego*).

Trza myśleć! — zbadać, co też myślą oni.

MATKA ANIELI.

Patrz—zamyślony.

OJCIEC.

Co myślisz? Walery!

WALERY (*do siebie*).

To się nie łatwo przed wami odsłoni.

(*Głośno*).

Ja..... roz..... gniewany jestem na Jordana —
I rozbrat z nami! Wczorajszego rana
Zbyt mię obraził — i kwita z przyjaźni!

MATKA.

Jest to drażliwość twojej wyobraźni.
Jordan, to chłopiec najpoczciwszy w świecie.

OJCIEC.

Ja go tak kocham, jak me własne dziecię.

MATKA.

I ja go kocham, tak jak mego syna.

WALERY.

A ja nie cierpię.

MATKA.

I cóż za przyczyna?

WALERY (*do siebie*).

O! to wybornie—kochają go szczerze.
(*Z udanym gniewem*).
Ot tak, niecierpię—ja jemu nie wierzę!

MATKA.

To nie ma wiary już na całym świecie!
To sama cnota!

OJCIEC.

On nie wie, co plecie.
Nie wiem czy znaleść takiego drugiego
Jeśli on zrobił co na świecie złego,
To sobie chyba.

WALERY.

Ej! mniejsza o niego!

(*Odchodząc*).

Czyn dokonany! — i nasza wygrana!
Dobrze, żem był pomyślił—Aniela, Jordana.

(*Wychodzi*).

MATKA.

Co myślisz, mężu, o Hrabi Fioli?
On się mi wczoraj oświadczył; że kocha
Naszę Anielę.

OJCIEC.

Za szkaradny trocha,
Przytem już stary.

MATKA.

To najmniejsze wady!

OJCIEC.

Aniela czy go kocha?

MATKA.

damy temu rady.
To już rzecz moja. Czwarte przykazanie
Wszystko rozwiąże i za miłość stanie.

OJCIEC.

Będziesz szczęśliwą?

MATKA.

O, ja za to ręczę.

OJCIEC.

Więc niech tak będzie!

MATKA.

Jutro ich zaręczę;
A w oktawę zaręczyn, w następną niedzielę,
Będziem obchodzić Hrabiny wesele.

OJCIEC (*z namysłem*).

Tak—toby było bardzo wyśmienicie!
Interesaby poszły nam lepiej i życie.
Młodsze rodzeństwo skorzystać stąd może....

MATKA.

Świętym zamiarom pomóż, Święty Boże!

JORDAN (*sam*).

Gdybym ja zdołał być rószczką oliwną,
O, przynosiłbym z potopu wam wróżbę pociechy;
Gdybym ja zdołał być ogniem piekielnym,
Powypalałbym wszystkie z waszych piersi grzechy,
Z piersi zrdzawionych, co gangrena toczy,
I łzami ludów przemyłbym wam oczy!
I wzrok wasz ślepy, jako szczeniąt małych,
I głos wasz, ktory bydlęctwem kazicie,
Obmyłbym z wejrzeń i dźwięków spodlałych—
Lepszebyście przejrzeli i poczuli życie.

Braci szyderstwa bezbożne,
Przyjaźni upomnienia łzawe,
W codziennego życia strawę
Składały swoją jałmużnę,
Mięszały dary swe codzień!
Naraz myśliłem, żem warjat, lub zbrodzień.
Sród długich dumań wieczora,

Nieraz z bezsennej pościeli,
Jak niespokojny z grobu cień upiora,
Którego ludzie wyklęli,
Leciałem w bezdnie — lecz lotom szalonym
Białe pokory nie odbiegło pióro,
Ach! w Tobie Boże i w tobie naturo
Szukałem ulgi mym skrzydłom znużonym!

Wieleż razy głąb duszy chciałem wyspowiadać,
Czyli Niebios nade mną takie przeznaczenie,
Którego tajnie napróżno chcę badać,
Czy to losów dziejowych smutne pośmiewiska,
Ażebym cierpiał, cierpiał nieskończenie?

I na cóż pokochało me oko przestrzenie,
Tonące oku, za wzroku granicą?
I strome, znikające w mgły zwojach urwiska,
Które gonię szalony mej duszy źrenicą,
Nie mogąc skrzydłem podołać wzrokowi?
Na cóż upodobanki orle kolibrowi?

Bądź zdrowy, serca pokoju!
Ach! ty nigdy nie mogłeś zagościć w mem łonie!
I ty, ciszy domowej poświęcony zdroju,
Co balsamem orzeźwiasz zmordowane skronie,
I serdecznego zbytki przygaszasz płomienia!
Ach! twą ciszę burzyły piersi mojej tchnienia!

Nie dla mnie twoje dary, choć je cenić umiem!
Choć widziałem szczęśliwych, ich szczęście rozumiem,
I ich cnoty domowe ocenić umiałem,
Lecz zostać tak cnotliwym nie mogłem, nie chciałem?
Próżnobym w zagadnieniu topił się zawiłem.
Dosyć, że takim ni jestem, ni byłem!
Czy serce lepszych przeczuć dźwiękiem się ograło
Czyli może ich szczęścia było mi zamało,
Bym go mógł jak oni używać....
Nie mogę siebie sądzić, i nie chcę zgadywać!....

Niechaj szydercy nikczemnie się śmieją,
I życie topią w rozpustach,
Niechaj się próżną łechcą nadzieją.
Życiem frymarcząc bez czynu—
Lecz równie podle brzmią i skargi w ustach,
Odkądś na krzyżu, za czyn Boży Synu!
Cierpieć i jęczeć, potem przywyknąć do jęku
Jako pies lub niewolnik do łańcucha dźwięku,
A potem się melodją łańcucha lubować,
Zlać się z jej nótą, i przy niej tańcować,
Jak na umarłych grobach tańcowano,
I zamiast serca—wychwalać się z raną?—

O, jak się życiu młodemu odsłania
Świat piękny wielki! Lecz wielkim być trzeba,

By go zapełnić—lub potrzeba zginąć,
I zginąć w bolach długiego konania!
I widzieć nieśmiertelność—a w nicestwo płynąć!
I codziennie spożywać powszedni kęs chleba,
I mieć pragnienie, głód wieczny, udziałem!
Szalony, przecię i to ja wiedziałem!

Ale są myśli, co jeszcze z powicia
Na wieki wieków upoją człowieka,
Z których nie zdoła wytrzeźwieć za życia,
Od których darmo ucieka!
Jednym Stróż Anioł, a drugim szatani
Podają kielich w ciężkiej życia probie.
Jedni i drudzy całe życie pjani,
A wytrzeźwią się aż w grobie!

Jedna przestroga—wciąż zapomnij siebie,
Ucz się z trucizny wydostać słodyczy.
Kielich nektaru i kielich goryczy
Bóg tylko jeden zrównoważy w niebie.
Lecz jakżem też samotny, i jakem tułaczy
O Anielo! gdy pierś ma odetchnęła tobą,
Różowy rąbek błysnął nad serca żałobą;
Błysnął, by zgasnąć; lub ażeby raczej
Więcej odblasku pożyczyć żałobie.
Rąbku różowy! płyń szczęśliwy sobie!
Niech cię losu czółenko wetcze w szczęścia szatę!
Szczęśliwy, kto za serce serdeczną wypłatę
Weźmie od ciebie, życiem się podzieli,

I przez świat pójdzie, rozkoszniej, weselej
Pierś swą w dwojnasob powiększy, rozszerzy
I snadniej tak krzepiony do celu dobieży,
Kroplą rosy różannej odwilży pożogę!
Lecz różną losy wskazały nam drogę.
„Ty mnie szukać nie będziesz, ja Ciebie nie mogę.“

OBYWATELSKIE POSIEDZENIE.

Gesellschaft, wie man wünschen kann
Wahrhaftig lauter Bräute
Und Junggesellen, Mann für Mann,
Die hoffnungsvollsten Leute!
FAUST.

(NOWOHERBSKI, ŚWIĘTOJANSKI, SZCZEROBŁOCKI, NOWOFRACKI, WYTCHLINSKI, ZBUTWIENSKI, MARSZAŁEK ĆWIK, PROT i INNI.)

ŚWIĘTOJANSKI.

Cóż z nowin słychać?

SZCZEROBŁOCKI.

Okropności same!
Zda się, że piekło otworzyło bramę
I chcę co żyje w swoją paszczę schwytać.

PROT *(ciągle żartobliwie).*

Wolnoż się o te okropności spytać?

NOWOHERBSKI.

Same dość o nich mówią dzisiaj czasy.
Dziś cnota kontrabandą, zakazaną rzeczą.
Niecnót szkarada wpadła w pierś człowieczą,

A młodzież rośnie patrząjąc na lasy.
Przodkiby swoich wnuków się wyparły!
Gad samolubstwa w piersi się rozplemił,
Zysk podły wszystkie umysły ociemił.
Gdybyż wiedzieli, że jeden umarły
Poniósł w grob z sobą, za czem się tak gonił?
Bodaj ku prawdzie wzrok się ich odsłonił!

PROT.

Poznał Pan Nowoherbski czasów niegodziwość.
Ach! jaka dobra jest to rzecz, poczciwość!
Gdybyż to dla nas więcej takich ludzi,
Jak ty, najlepszy z współobywateli!
Na samby widok nikczemni zmaleli,
Wszędzieby cnota kwitła jak na Żmudzi!

WYTCHLINSKI.

Pod taką prostą skromności osłoną
Jest Nowoherbski cnotliwych koroną!

NOWOHERBSKI.

To dobroć wasza więcej we mnie widzi.

ZBUTWIEŃSKI.

O, nikt się przyznać cnót ci nie powstydzi!

MARSZAŁEK ĆWIK.

Choć go nikt więcej odemnie nie kocha,
Lecz muszę wyznać, że jest twardy trocha.

PROT.

Wszakże niezbędny jest to przymiot cnoty.

NOWOFRACKI.

Zwłaszcza, gdy zawsze z zapomnieniem siebie—
Lecz gdzie głos woła wdowy lub sieroty,
Tam jest zbyt twardym!

PROT.

Będzie za to w niebie.

NOWOHERBSKI.

Na bardzo krótką chwilę was porzucę,
Bo muszę spieszyć do Gubernatora
W sprawie dwóch sierót; lecz rychło powrócę
I z wami resztę przepędzę wieczora.

(*Odchodzi*).

ŚWIĘTOJANSKI,

Cały wylany uczuciom ludzkości!

PROT.

Jakim wzorowym jest panem dla włości!

SZCZEROBŁOCKI.

O, i w tym względzie jest takoż wzorowym,
O ich byt bacznym, dla tego surowym,
Inaczej trudno być z tymi łotrami!
Potrzeba tylko miarkować się w karach.

PROT.

Ale my rodzim tych łotrów w browarach;
I nie chcąc muszą zostać pijakami.
I trzeba, żeby pili do przesytu,
Bo inaczej na wódkę nie bedzie odbytu.

SZCZEROBŁOCKI.

Bądź Pan spokojny, będziem mieć siurpryzę,
Już dla nas wszystkich gotują akcyzę.
A wtenczas wszyscy pójdziemy z torbami.

WYTCHLINSKI.

Jeszcze zagadka i z inwentarzami—
Coś dla nas także tajemnego wróży....

PROT.

W tem tajemnicy nie widzą niektórzy.

SZCZEROBŁOCKI.

I bardzo wielka, Mości Dobrodzieju!
Na to nie trzeba zbyt wiele oleju.
Funduszów całkiem przemieni się stopa,
Bo teraz nie wiem, mam czy nie mam chłopa,
Bo wolno wszystko odebrać na świecie!
Lecz co posiadam, muszę wiedzieć przęcie.

PROT.

To słusznie—ale widzi Pan Dobrodziej,
Z najpierwszych królów, był to król kołodziej.
Chłop *eo ipse,* przeklęte djabelstwo!
Ale stąd w górę tak poszło ciesielstwo,
Że głupstw tysiąca w Europie matką.
Stąd to do dziś dnia jeszcze jest zagadką,
Czy chłop człowiekiem, czyli też jest rzeczą?
Lubo jak własność jest pod prawa pieczą.
Bo w Ewangelji, co Chrystus powiada,
Że wszyscy bracią to jeszcze jest kwestja,

Która się dotąd w Europie bada,
Czy się w ten szereg liczy i chłop bestja?
Wszakże sam Chrystus jest z arystokracji?

MARSZAŁEK ĆWIK.

Więc w takim razie jest to rzecz bez racji.

ZBUTWIENSKI.

Rzecz się najgłówniej tyczy propinacji.
W tem, mi się zdaje, jest główne zadanie.
Gdy chłop własnością być tylko przestanie,
Cóżby się wtenczas z całą szlachtą stało?
Wtenczas dla szlachty kres ostatni klęski,
Wtenczas szlachectwo jest rzeczą zbutwiałą.

PROT (z ironją).

Więc każdy szlachcic byłby Pan Zbutwieński,
I ródby pański miał prerogatywę
W tej nawet zmianie.

ZBUTWIENSKI.

Jak to?

PROT.

Zbyt widocznie.
Pan urząd pierwszy nowej szlachty pocznie,
Na co dam z góry mą afirmatiwę.

ZBUTWIENSKI

(przywodząc sobie na pamięć starożytność rodu, z rezygnacją do siebie).

Gdybym skorzystać miał na rzeczy zmianie,
Po co mi wglądać, co się z resztą stanie?

(Do Prota).

A jakież będą nowe przywileje?

PROT.

Ej, później o tem—miej wielkie nadzieje
Będzie tak dobrze na ziemi, jak w niebie!

ZBUTWIENSKI.

Czyż mogę wierzyć?

NOWOFRACKI.

Ej, słuchasz—drwi z ciebie.
Wtenczas najgorzej byłoby już z nami.

ZBUTWIENSKI.

Więc będę przeciw chłopom, a za browarami.

MARSZAŁEK ĆWIK.

Tak musi myśleć każdy prawy człowiek,
Choć dziś z prawością nieraz kryć się trzeba.

ZBUTWIENSKI.

Będę tak myśleć do zawarcia powiek,
I będę kryć się, przysięgam na nieba!

KILKA GŁOSÓW.

Tak musi myśleć każdy prawy człowiek.

PROT.

(patrząc przez okno z uniesieniem).

Widzę Jordana!

MARSZAŁEK CWIK (też postrzegając.)

Jak piorun śród Tatrów,
Albo jak ogon błędnego komety.

WYTCHLINSKI.

Albo jak warjat z domu Bonifratrów.

SZCZEROBŁOCKI.

Albo jak rozum każdego poety.
Jednakże postać jest to dziwna bardzo.

PROT.

Me zdanie o nim jest troszeczka lepsze.
Sądzę, że perły wyrzuca przed wieprze,
I że dla tego tak wieprze nim gardzą.

ZBUTWIENSKI.

Ach! wszakże Jordan, to także poeta!
Dziwna to naszej młodzieży zaleta —
Jak się pisać nauczy, zaraz pisze wiersze,
Ale Prot u mnie ma miejsce najpierwsze.

MARSZAŁEK ĆWIK.

O, bez wątpienia! czysty ogień Etny.
Ale ten Jordan, to warjat kompletny!
Trzeba go prosić.

(Proszą, wołają—Jordan wchodzi.)

MARSZAŁEK CWIK.

Zamglony chmurami,
Czy deszcz, czy gromy wyrzucisz nad nami?

JORDAN (z łagodnością.)

Nic, nic.

WYTCHLINSKI.

Jednak czemkolwiek musisz nas obdarzyć.

MARSZAŁEK ĆWIK.

Kiedy broń Boże nie jesteś w natchnieniu,
To musisz za nas choć trochę pomarzyć.

JORDAN.

I zasnąć za was—lecz cóż w przebudzeniu?

MARSZAŁEK ĆWIK (z affektacją).

Ożyć na wieki—w nieśmiertelnem pieniu!

JORDAN (do siebie.)

Któż może trupom dać życia porękę?
O! jak ich wszystkich do gruntu poznałem!

WYTCHLINSKI.

Ach, trzeba, trzeba zaśpiewać piosenkę.

MARSZAŁEK (z ironją).

Czekamy wszyscy z natchnieniem z zapałem!

JORDAN.

O, zgoda, zgoda—wszystko dla was zrobię.
I wam coś się należy—i coś trupom w grobie.

(Siada przy fortepjanie, gra i śpiewa).

Piosenki śpiewam, piosenki,
Ale cicho, ale w sobie.
Myśli moje, jak robaki,
Toczą piersi, co już w grobie.
—Chociaż wszystkie życia znaki
Im na czołach połyskują,
Ale dusze ich są w trumnie.
Że trupami są, nie czują.
Chociaż żyją i ucztują,
Chociaż zgrają ciągną tłumnie,

Człowieczeństwa noszą znaki,
Ale to są wilkołaki!
Człowieczeństwa noszą znaki,
Ale to są wilkołaki!

MARSZAŁEK CWIK (do Szczerobłockiego.)

O warjat! sensu gdyby za trzy grosze,

(Do Jordana).

To jest tak wzniosłe, wysokie, tak piękne!

SZCZEROBŁOCKI (do Marszałka Cwika).

O, przestań, proszę, bo ze śmiechu pęknę!

MARSZAŁEK CWIK (do Jordana).

Pewno śpiewałeś piosnkę z podań gminnych!
Może zaśpiewasz jeszcze z tekstów innych?
W imieniu wszystkich o to ciebie proszę.

JORDAN
(rozumiejąc dobrze cały ton mowy).

O, chętnie! byle stało chęci słuchać.

SZCZEROBŁOCKI (do Marszałka).

Jak umiesz w nótę zwarjowaną dmuchać!

JORDAN (gra i śpiewa.)

O, nie! to nie są wilkołaki wcale,
Ani też wilki, ni psy, ni szakale,
Ale są ludzie zacni i porządni,
Rzetelni, akuratni, uprzejmi, rozsądni,
Przedsiębiorący, zręczni i ostrożni,

Mili, weseli, a przytem pobożni;
Czytają książki bez uszczerbku czasu,
I są wszechstronni w swych pojęć rozmiarach;
Bogom ambrozję gotują w browarach,
A smołę djabłom pędzą z swego lasu!
A to, by z piekłem i z niebem być w zgodzie.
I tak bogaci są wszechstronną wiedzą
Uczą, że źle jest płynąć przeciw wodzie,
A dobrze na dwóch stołkach jest siedzieć—
i siedzą.

(*Towarzystwo zmianą nóty pomięszane.*)

MARSZAŁEK CWIK.

Raptem być zaczął bardzo zrozumiałym!

SZCZEROBŁOCKI.

Zaczął być grubijańskim, a nawet zuchwałym!

PROT (do Jordana).

O! czy nie można powtórzenia prosić?

MARSZAŁEK CWIK.

To bardzo pięknie; lecz możemy wnosić,
Że umie inne.

JORDAN.

Na ten raz już dosyć....

(*Odchodzi.*)

MARSZAŁEK (szyderczo.)

Szybki i palny, jak kongreska raca.

ŚWIĘTOJANSKI.

Lecz Nowoherbski nasz do nas nie wraca.

PROT.
I przyjaźni zapomniał dla biednych przez miłość.
ZBUTWIENSKI.
Musi być w interesie jakowaś zawiłość.
PROT (zawsze z ironją.)
On złoto.... prawdy i z piekieł wygrzebie;
Lecz kiedy wyjdzie z piekieł, pewno będzie w niebie!
ŻONA NOWOHERBSKIEGO
(*wpada, pytając o Szczerobłockiego.*)
O ja nieszczęsna! ratujcie Panowie!
Mąż mój! mąż ach mąż!
(*Pada z wysilenia i boleści.*)
MARSZAŁEK CWIK.
Niech pani wypowie,
Cóż się z nim dzieje?
SZCZEROBŁOCKI.
Widać przegrał sprawę.
KILKA GLOSÓW RAZEM.
Jakieś nieszczęście!
NOWOHERBSKA (odzyskując przytomność.)
Mąż mój nieszczęśliwy,
Niebios wyrokiem, nagłą dziś śmiercią doknięty!
KILKA GŁOSÓW.
(*z przerażeniem między sobą.*)
Attak apoplektyczny—o, to cios dotkliwy!
O tu, przed chwilą, był pomiędzy nami.
Jak ona biedna zalewa się łzami!

NOWOHERBSKA.

Zabił go swym przyjazdem synowiec przeklęty.
Po cóż on przybył!

MARSZAŁEK ĆWIK.

A czy jest pojmany?

KILKA GŁOSÓW.

Porwać go, schwytać i okuć w kajdany!

NOWOHERBSKA.

Gdybyż na świecie była sprawiedliwość!
Ojcowską jemu niósł zawsze gorliwość
I opiekę, wychował tak jak swego syna.
Dziś się nędzny o jakiś fundusz upomina,
Z skargą, że mu w dzieciństwie puściznę zagrabił.
Stworzył jakieś dowody i męża mi zabił!
O ja nieszczęsna! mój mąż! ten wzór cnoty!
Jam biedną dzisiaj wdową, a dzieci sieroty!

(Całe towarzystwo pomięszane okropnie. Nowoherbskę omdlałą wynoszą do drugiego pokoju. Zostaje Prot sam.)

PROT (z uniesieniem).

O! jest pochodnia,
Przed którą zbrodnia
Traci tajni moc.
W najciemniejszą noc,
W najgrubszym mroku,
Jak w pół dnia, jak w zaranie,
Z nocy łona powstanie
I zaświeci oku.

Jaśniej od promieni słońca!
— I tak w pamięci popłynie potoku,
I płynie, płynie bez końca!
Bez ustanku, wciąż.
Śliźnie się jak wąż;
W błędnej, malutkiej iskierce,
Sliźnie się za życiem w ślad,
Cichutko, aż pod serce!
O! pamięć okropny gad!

JORDAN (sam.)

Jakie krwi morza w ludzkości dziedzinie!
Jeszcze z góry Golgoty ustawnie krew płynie.
—Tyle łez, jęków — i czyż to ostatnie?
To, co szlachetne, niesie swoją głowę;
A tamci życie spędzają jałowe,
Patrząc z pogardą na krew i łzy bratnie!
Tamci serca wydęli z nożem Abrahama
Broczą się we krwi i łzach swoich bliskich;
A ci, brzuchów wydętych, serc małych i niskich,
Ucztę wesołą ścielą dla Beljala!
Jedni i drudzy w wspólnej grzechu szacie:
Bo Bóg z niewinnej nie chciał krwi ofiary.
Ale że z serca nieśli Bogu dary,
Wypili nektar w męczeństwa zapłacie.
Choć nieszczęśliwi ale cnoty słudzy.
Oni umarli za to, że ci drudzy
Tak się wyparli człowieczeństwa znamion:
Bo gdyby wszystkie ramiona do ramion,
I do serc serca, i do duchów duchy,
Toby, ach! toby w chrześćjańskim świecie
Bliźniej miłości rozrosło sie kwiecie!
I świat w miłości spojony łańcuchy
Zrósłby się sercem!...

PROT
(*wchodzi do Jordana.*)

Znać się lub nie znać, takie dzisiaj znamie —
Serce do serca, do ramienia ramie,
Uczucia, myśli, w szatę czynów wcielić! —
Ja tu przychodzę z tobą się podzielić,
I pytać ciebie, co począć wypada?
O, cenną dla mnie zbyt jest twoja rada.

JORDAN (zimno.)

Rada oddawna jest to orzech próżny.
Iskra dumy szlachetnej na czole twem świeci;
A ty jak żebrak chcesz prosić jałmużny,
Która cię krzywdzi i usta twe szpeci.

PROT.

A imie twoje mądrość oszukuje.
Jam Ciebie szukał, i tego żałuję.
Znawca serc ludzkich i badacz głęboki,
W pierwszem spotkaniu krzywe stawisz kroki.
Nie chcesz mię poznać! lub cię nie rozumiem;
—Lecz nadtom dumny—ja żebrać nie umiem.

JORDAN.

Więc pozwól spytać, czegoż chcesz odemnie?
Chceszli to znaleść, co szukać daremnie?

PROT.

Ja nie przychodzę o nic ciebie prosić,
Ale me serce tylko z tobą dzielę.

JORDAN.

Czyliż masz serca twojego tak wiele,
Że i do dania masz mi jego dosyć?

PROT.

Plunę w twe progi i nie wrócę więcej,
Albo mię umiej odgadnąć i poznać.
Miałżbym od ciebie ja szyderstwa doznać!
Ja chciałem razem związać z tobą ręce,
Pierś naszą oddać przyszłości w zamęście,
I życie nowe rozświecić w pomroce,
I stanąć jak opoka, i na tej opoce,
Jak Chrystus Kościół, wybudować szczęście!

(*Jordan wzruszony. Długa chwila milczenia. Potem z wielkiem wzruszeniem.*)

O! to pusty czczy dźwięk słowa,
To poważny, smutny żart;
Bez podstawy to budowa,
Domy z piasku, domy z kart!
Prysną tak, jak prysną słowa.
A pierś wtenczas, biedna wdowa,
Płacze po swym mężu—czynie—
Idzie głosić na pustynie.
Lecz łzy jeszcze, to nie czyny,
I nie czyny przedsięwzięcia.

. . . .

Bo żal i łza niemowlęcia,
O, najtwardszą pierś zwycięża.
Lecz żal i łza nie dla męża!

I cóż po tem, że szlachetna
Pierś roztrwania życie, tchnienia?
Pośród skwaru, śród pragnienia
Gdy umiera—ach bezdzietna!

O, w gwałtownem serca biciu
Pierś się wzdyma na wyżyny —
Najpiękniejsza chwila w życiu!

Lecz wyżyny nie dolecisz —
Skoczysz tchnieniem, runiesz, zlecisz:
Bo twój balon z pajęczyny!

I życie się poniewiera
Wprzód, nim wielka chwila przyjjdzie.
Czy ty znasz wzrost bohatera?
Musi wzrość na piramidzie!
Nie na cudzych piersiach wzrośnie,
Nie na cudzem wzrośnie słowie,
Lecz gdy duchem on wyrośnie,
Rozrośnie się w piersiach, w głowie.

Myśli wasze, to ogniki,
Które błyszczą śród mogiły.
Lecz w nich nie ma dosyć siły,
By umarłych pierś rozżarzyć,
Próżne żalu jęki, krzyki —
Trzeba więcej coś, jak marzyć!

Bo wy śmieszni, wy myślicie,
Że wy wszyscy cudotwórcy —
Gdy zechcecie, dacie życie—
Chcecie władzę okraść Stwórcy!
Ogień Bóztwa, ogień z nieba,
Co zamieszkał pierś ludzkości,
Gdy się przyćmi, łaski trzeba,
Trzeba cnoty i miłości.

Bo to Boże są wachlarze,
To promienie jego ducha,
Co Pan w wielkim złożył darze!

Człowiek cnotą i miłością
Tylko ogień ten rozdmucha.
Insze środki są nicością!

Dane środki w upominku —
Korzystajcie. Czyż myślicie,
Że ten ogień rozżarzycie
Przy waszych środków kominku?

Ducha strumień z nieba płynie.
Ludzkość wzięła go w dziedzinie;
A gdy zgaśnie w źwierzęceniu,
Niech pracuje, niechaj czeka;
Aż odkupi się w cierpieniu
Znowu na godność człowieka!

PROT (z ironją.)

A więc gadać, rzucić czyny?

JORDAN.

Czyn bez ducha—zlepek z gliny,
Kruchy garnek. Próżne trudy!
Nie zgotujesz ty w nim strawy,
Co ma karmić szczęściem ludy,
Co ma zawieść je do sławy.

Szukasz rady? rada — zdrada!
Rzadko w cudzą pierś przypada.
Kto rzecz obcą w siebie wchwytał,
Stracił siebie, dał na mary!

Czy ty nie wiesz, co ów stary,
Gdy o radę go ktoś pytał,
Pytającym odpowiedział,
By umarłych zapytali?

Śmierć i życie, niby przedział!
Lecz jak w dźwiękach śpiżu, stali,
Głos się jeden w drugi wciela,
Tak w grze dźwięków Stworzyciela,
Tak w dziejowej ludów pieśni,
Żywi brzmią umarłych echem!

Choć w grobowej tamci cieśni,
Jeszcze karmią dźwięki swemi,
Swoją cnotą, swoim grzechem;

Jeszcze kończą pieśń z pod ziemi!
Niech się słuch twój tam zatrzyma.

Gdy się wsłuchasz w pieśni nótę,
Prawdy w więzy tajnic skute
Staną wolne przed oczyma!

Ty chcesz rady? rada—zdrada!
Ty chcesz wiązać słabe ręce.
O, przysłuchaj się piosence!
Nie słuchacie? biada! biada!

Wy myślicie, że to życie
Jest zabawką sobie marną;
Lecz daremno! Wszak musicie
Pielęgnować w sobie ziarno,
Które Pan Bóg zasiał w łonie.
Czyś ty żebrak, czyś w koronie,
Czyś dziś szlachcic, czyś przed wiekiem,
Musisz naprzód być człowiekiem!

Tak to prawda, jak Bóg w niebie.
Potem wszystkiem stać się zdołasz.
W Imie Boże gdy zawołasz,
Bóg odpowie: stań się w niebie!

Bóg bez ciebie stworzył ciebie,
W twoją istność wcielił siebie;
Lecz gdy lecisz na bezdroże,
Bez ciebie, ciebie on zbawić nie może!

PROT (do siebie z ironją.)

Teologiczno-filozoficzna rozprawa.
To za kosztowna na dzisiaj zabawa.
Jaki to u nas chaos wyobrażeń!
Jakie elefantyczne dziwolągi marzeń!

(*Nic nie odpowiadając Jordanowi, odchodzi.*)

DEKLAMATOR.

Ach, to z szału, to z warjacji
Wyrósł ustęp deklamacji!

Dziwny zbieg rzeczy! uważam panowie,
Na pół ziewając, jednakże raczyli
Słuchać cierpliwie; a choć się znudzili,
Byli zbyt grzeczni—niech da Bóg na zdrowie.
    Lecz nasz poeta zwarjował okropnie;
I dziwne nawet rozbiegły się wieści,
Jakby chciał skręcić łeb całej powieści.
Możeby nawet zrobił i roztropnie?
Bo długo mole gryzły mu ją w tece.
Lecz na nieszczęście to się stało latem,
Gdzie, jak wiadomo, nie palą się piece,
A zostać łatwiej niż w zimie warjatem.
I insza jeszcze wieść chodzi po świecie,
Że się rozkochał okropnie w kobiecie,
Która pegazy jego wzięła muzy
W zaprząg swych wdzięków—lecz nie był szczęśliwy,
Bo musiał spożyć niesmaczne harbuzy,
A z nią się Podkomorzyc ożenił poczciwy!

Jak mówią, obywatel był to zbyt wzorowy,
Jadł i pił tęgo i łamał podkowy!
Ale poeta był tak strasznie chory,
Że w próg o mało nie skoczył wieczności,
Cha! cha! cha! mało nie umarł z miłości!
I jeszcze wątpią do dziś dnia doktory;
A nawet jeden weterenarzysta,
Który jest bardzo biegły w medycynie,
Wniósł po poety długich włosach, minie,
Po prędkim chodzie, i po złej grze w wista,
Że musi skończyć koniecznie na szuście,
I że poezje są jego w tym guście.
I zdanie jego podzielał Marszałek,
Któremu leczył krowy i owczarnie,
Z którym był bardzo, bardzo popularnie.
I gdyby nawet przyszło do sejmików,
Toby mu ze sto przygotował gałek.
Na urząd jaki, naprzykład Sędziego,
Pomimo sarkań powiatu i krzyków.
Lecz proszę, cóżby mogło być w tem złego?
Zmilkłaby rychło powiatowa rzesza:
Bo sąd nasz nie tak ścisły, jak prawa Minosa—
Dziś lepią bohatera, wznoszą pod niebiosa,
Jutro się jemu na szyi psy wiesza!

Trzebaż nadto poecie przez gry losów dziwne
Spotkać królewskie podobieństwo z sobą?
Choć dzieje spólne, lecz losy przeciwne.

Niech choć ta wspólność będzie mu ozdobą:
A szczęścia sprzeczność, królewska dewiza,
Smutki osłodzi i sąd twardy skruszy!
Król Saul, jak pastuch swego ojca Kiza,
Znalazł królestwo, idąc oślic szukać;
A on chciał w sławy królestwo zapukać.
Tronu nie znalazł, ale ośle uszy!
Czegoż błądził po urwisk przepaścistem polu?
Lepiejby może siedział w Marjampolu,
Choć nie jak pastuch, ale jak Pan Sędzic,
Szlachcic od wieków!—oślicby nie szukał,
Aleby znalazł Sędziankę poczciwą,
Spojrzał i poznał, w jej serce zapukał—
Może Sędzianka byłaby szczęśliwą?
Może szczęśliwszym byłby i Pan Sędzic?
Możeby nawet Marszałek powiatu,
Krzew najwonniejszy szlacheckiego kwiatu,
Byłby dla niego trochę więcej względny,
Gdyby tor drogi nie wybrał tak błędny?
Bo raz się wszyscy marszałka klienci,
Wszyscy uczeni, jak się ma rozumieć,
Nie mogli dość się nad bezsensem zdumieć
Poezji *Sowy* i pisarskich chęci!
On zhańbił siebie na wieki w pamięci
Pana Marszałka, równie i powiatu.
Czyż powiat tego nie opowie światu!
O biedny *Sowo*!

Ale nić dalszą weźmijmy do ręki!
Chory poeta wciaż Anieli wdzięki
Stroił w cudowne malowne obrazy;
A lekarz lód mu ciągle kładł do głowy!
Rozprzęgłych myśli zostały wyrazy;
I to jest wątek porwanej osnowy:
Oddam wiernie, co tylko z powieści zostało;
Resztę muszę nadtoczyć — oby się udało!

„Na ziemi dziwnie, ach dziwnie panowie!
Dziejami serca rządzą losy sprzeczne.
To, co dla jednych jest serca konieczne,
Serca związane wyrokami Nieba,
Oddane sobie w świętej uczuć wierze,
Przyjdą, rozerwą przekupnie szalbierze.
Długoż tak?....
Ale powieść kończyć trzeba!
„Wieczorem mówi matka do Anieli:
Trzeba by jutro poszła do spowiedzi.
Niechaj Duch Święty ją łaską nawiedzi!
Niechaj swe serce z kapłanem podzieli.

. . . .

I przyszło jutro, i spowiedzi pora.
Duch się dziewicy z pokorą położył
Przed namiestnikiem, co ją z Bogiem łączył.
Ksiądz dał nauki i spowiedź zakończył!

„Aniela przyszła natchnioną i czystą.
Niebo jej było dziedziną ojczystą,
Lecz trzebaż, trzebaż było żyć na ziemi!
„Do domu wchodząc z myślami świętemi,
Znalazła matkę tak smutną Aniela,
Że całe szczęście, które w sercu czuła,
Boleść jej matki w jednej chwili struła!
„Bo uczuć matki nikt tak nie podziela,
Jak córki serce. Aniela płakała,
Badała w matce jej bolów pobudki;
I wszystkie matki boleści i smutki
Takby na siebie wszystkie przyjąć chciała!

„Matka jej rzekła: życiu memu świeci
Szczęście nie własne, lecz szczęście mych dzieci.
Możeszże myśleć, cokolwiek na świecie
Jest mi droższego jak ty? moje dziecię!
Nad twą kołyską me noce bezsenne
Krzepiły siły, nadzieje promienne,
Że kiedyś twojem ucieszę się szczęściem;
I w lat twych wzroście nieszczędzone trudy
Karmiły słodkie nadzieje ułudy,
Że pókim tutaj ja jeszcze na ziemi,
Że twą szczęśliwość zapewnię zamęzciem.
Umrę spokojna — nad zwłokami memi
Życia twojego błogość się rozleje,
I w grób poniosę spełnione nadzieje!

— „O matko moja! rzekła jej Aniela
Jażbym choć jedną twego życia chwilę,
Za ofiar tyle, za poświęceń tyle,
Miała dzień jeden struć twego wesela? —

„Anieli serce rozkosznie rozkwita
Czystem różanem uczuciem dziewicy.
Uczucia raju pełną piersią chwyta.
Perłowa rosa świeci w jej źrenicy.
Z przesytu szczęścia w serca głębokości
Łza dotrzymać nie mogła.
O, wszystkie miłości:
Boga, i bliźnich, i matki, i jeszcze...
Tak owionęły młode serce wieszcze,
I tak szczęśliwą być siebie sądziła,
Że tyle, tyle ani nawet śniła!

„Lecz ach! na sercu przez szczęście organem
Przyjdzie los zagrać — i zagra gęsiory,
By wolnej woli miał człowiek wybory,
Został aniołem lub został szatanem!

— „O matko moja! mówiła Aniela,
Twa dobroć, matko, dzisiaj mię ośmiela,
Dziś czuję siłę — tak się nic nie trwożę,
Że jak przed Bogiem me serce otworzę.“

W pomięszanego poety powieści
Spowiedź Anieli przed matką urwana.
Ja też nie myślę dopełniać jej treści.

—„Jak to? niewdzięczna! ty kochasz Jordana!
Krzyknęła matka i spazmów dostała.
Ach! stokroć umrzeć, umrzećbym wolała,
Niżli to słyszeć! —
. . . .

„W sercu dziewiczem Anieli
Taka straszna rośnie trwoga!
Boleść i żal twarz jej bieli.
Uklękła i prosi Boga,
I gorące szle westchnienie,
To do matki swojej bieży.
„Choć z spowiedzi dziś wróciła,
Chociaż wzięła rozgrzeszenie,
Znów grzech ciężki w piersi leży:
Ona matkę zasmuciła!

„Matka leży — matka chora.
Chorowała do wieczora.
A Aniela nie przestała
Ciężko boleć, płakać, szlochać.
Ona biedna nie wiedziała,
Że to ciężki jest grzech kochać!

„I smutna, zmieniona, blada,
Nad pościelą matki stoi,
W swe się serce zajrzeć boi —
Pod boleścią pierś upada!

„I noc przeszła tak bezsennie,
Mama spała — chwała Bogu!
„Jutro rano już na progu
Z więcej życia i promiennie
Córkę swoją matka wita,
I o zdrowie jej się pyta,
I że nie umrze, zapewnia.
I tak córkę tuli, garnie,
Tak się troszczy, tak rozrzewnia.
Pamięć bolów przeszła marnie.“

Tutaj znowu brak w powieści;
Tylko wzmianka nawiasowa,
Że najczulsza matki mowa
Zamknęła się w takiej treści:
—„Córko moja! tyś tak młoda!
Nie znasz świata ani ludzi.
Młodość ciebie twoja łudzi.
Któż ci lepszą radę poda,
Niźli matka, co dla ciebie
Poświęciła życie swoje,

I boleści, trudy, znoje?
I o jedno prosi w niebie,
Ach o jedno szczęście twoje!
I któż ciebie wtajemniczy
W życia twego zawód nowy?
Ach! świat taki jest zwodniczy!
Tak zwodnicze świata mowy!
Tak kłamane ma uczucia!
To świat kłamstwa i zepsucia,
Egzaltacji i przesady!
Więc posłuchaj mojej rady.
Każdy stan, wiek, urodzenie,
Każdy ma swe obowiązki,
Dla kobiety ślubne związki
Dało w podział przeznaczenie
Imie żony, imie matki,
To najwyższe życia cele
Lecz mąż dobry, to cud rzadki!
A najczęściej zwodziciele!
— Miłość, córko, wymysł płonny.
Jest to niby kwiatek wonny,
Który pachnie czas króciutki,
A zostawi same smutki!
Wzbudzi w świecie pośmiewisko:
Bo Idylle i Gesnery,
Wytchłe rzeczy, to chimery!
Bo znaczenie i nazwisko,
I dostatek tylko znaczy.

Głupi, kto myśli inaczej.
— Świat dziś głębszy, realniejszy,
Ma jaśniejszy pogląd rzeczy:
Bo się kształci ród człowieczy.
Kto bogatszy, kto świetniejszy,
Ten towarzystw jest koroną.
Tobie, córko, przeznaczono
Wyższe w świecie zająć szczeble."

Tutaj ustęp zginął długi,
W którym matka opisała
W najkwiecistszym kolorycie
Najkwiecistsze stroje, cugi,
Najkwiecistsze w świecie meble,
Najkwiecistsze w świecie życie!
A potem postać hrabiego Fioli
W tak piękne ubrała kwiaty,
I do serca córki w swaty
Tak piękne posłała słowa,
Że Aniela już gotowa
Była wierzyć, że Fioli
Jest najpewniej Jordan drugi.
I z pewnością nikt już nie wie,
Czy w jej sercu bezkrólewie,
Czy królują konie, cugi!
Chociaż dobrze obu znała,

Choć jednego z nich kochała,
Choć wiedziała, że Fioli
Jest tak głupi, jak dzwon próżny!
To nas, wyznam, wszakże boli,
Że poeta został dłużny
Rozwinięcie tej zagadki!

Tylko jeszcze traktat matki,
Gdzie psychiczna część małżeństwa:
Podług prawdy podobieństwa,
Traktat ślicznie rozwinięty
Dla małżeństwa nowicjatek,
Co ślub wzięły z woli matek,
A do mężów czują wstręty:

„Kiedy wstrętu nie pokona
Przez sakrament nowa żona;
Nim się z czasem przyzwyczai
Do tych czarów, które tai
Małżeńskiego urok łoża;
Nim zespoli w uniesieniach
Żywy udział i podzieli
W sympatycznych tchnień płomieniach —
Wyobraźnią niech wystrzeli
W świat, gdzie serce panowało
Uwieńczone uczuć wiankiem;
Niech się zleje tam z kochankiem,
A mężowi odda ciało!

Niechaj na to będzie baczną:
Gdy pominie mądre środki,
Będzie dla męża niesmaczną,
A po świecie pójdą plotki!“

O, jak wszystkie węzły święte
Człowiek dziwnie spodlić umie!
Niech się śmieją nikczemnicy,
Niechaj płacze, kto zrozumie:
Bo ta prawda upomina,
Że narodu treść, początek,
Jak szczep wielki z źdźbła i zrostka,
Są zamknięte w każdej parze,
Jako w tysiącach secina,
Jako w secinie dziesiątek,
Jako w dziesiątku jednostka!
Że przed ludzkości ołtarze
Klęknąć mają wszystkie pary!
I że w ilu par miljonie
Żyje święta i miłości,
Tyle żyje święta w łonie
I narodu i ludzkości!

A kto swoje serce przeda
Dla widoków lub pieniędzy,
Został uczuć tandeciarzem,

Ten w bogatej żyje nędzy,
Ten duchowym jest Łazarzem,
Co pierś swoją dał na zgnicie!
Co się wyparł Boga w sobie!
W najpodlejszym złożon grobie,
W złotym grobie podle stęka,
O! nie przyjdzie Pańska ręka
Upodlone wskrzesić życie!

Bo co w trumnie egoizmu
Raz złożone, nie powstanie.
Sród spodlenia heroizmu,
Wszystkie dzieci takich związków,
Jak robactwo w gnojnej ranie,
Toczą łono społeczności!
Stoczą prawo obowiązków!
Ach! bo w grzechu są poczęte,
Bo są dziećmi przedajności!
Gdzie stargane węzły święte!

I wy nędzni mówić chcecie,
W piersi miłość że żywicie —
W nienawiści wzięte życie,
Wy ostatni brud na świecie!
Jakąż dacie cnót rękojmię?
Kto najczystszą część istoty
Swojej przedał, pojmież cnoty?

Ten przedajnik miłość pojmie?
Jakąż miłość? świata! ludu!
Komedjanci, głupiuteńcy —
O przepraszam — lecz żal trudu,
I nie powiem nic już więcej.
Niech domówią reszty dzieje,
Skąd są zdrajcy i złodzieje?...

Tu widocznie był poeta
W paroksyzmie swej warjacji;
Lecz co do mnie, nie miał racji
Na co tyle budzić krzyków!

Jeszcze dodał w swem szaleństwie:
Może temu nie wierzycie,
Jak robactwo lęgnie w trupie?
Nie wierzycie, to spojrzycie
Na tych panów przedajników
I na pańskie dzieci...... (2).

„Gdzie nie wyschły uczuć zdroje,
Bracia moi, siostry moje,
Którym jeszcze nie zdołano
Zabić serca pozłacaną
Kłamstw mamoną i próżnością,
Zapytajcie ze szczerością

Starszych sióstr swych i rówiennic,
Tych zmienników i tych zmiennic,
Co kupili piekło w domu!
W których piersi pokryjomu
Bolą serca tajemnice —
Gdzie sakrament obrażony —
To nie męże, to nie żony,
Ale to są nałożnice!
To salonów cudne czary,
Piękne sale i kinkiety,
Adamaszki i parkiety,
I cudowne buduary,
Kandelabry — złoto — złoto
Ale w piersiach — błoto — błoto!

To niepięknie, to niegrzecznie,
Grubjaństwo takie słowa;
Lecz raz jeden musiał Sowa,
Ten ptak nocy, piać niegrzecznie.

Ja sowa jestem, ja latam w ciemności;
Lecz, gdy dzień wzejdzie, ja schowam się w cienie,
Zostawię życie ptakom jasności,
I głos mój stłumię, aby sowy pienie
Nie przerażało pienia jasnych ptaków,
Lepszych od Sowy, choć Sowy rodaków.

Ach umarli i warjaci
Wspólne życie pogrzebali;
Lecz z tych, którzy pozostali.
Niech im każdy swój dług spłaci:
Bo umarłych wola święta!

Jeszcze króciutkie fragmenta,
Choć ich zdania nie podzielam.
Że muszę wyrzec, więc się ośmielam.
To przedśmiertne słowa Sowy,
W których obraz salonowy:

* *
*

Snuje się pełno postaci strojonych,
Na wzór osóbek modnego żurnalu;
Lecz tylko sztuką krawieckiego kroju
Są modni, nowi; a czasów minionych
I wytchłych dawno pożyczyli stroju
Na ubiór głów swych. Nie można bez żalu
Patrzeć na nędzę ich serca i głowy!
O, jaki biedny nasz świat salonowy!
Na świecie nowym jest on tem, czem wiosną
Dachy zbutwiałe, kiedy mchem porosną!

Ludzkość się wiecznie jak wiosna odradza:
A każde pokolenie, każdy wiek zasadza

Swieżą latorośl do ludzkiego łona,
Jak rolnik ziarno. Szarańcza nasiona
Napadnie, zniszczy i wydrze plon ziemi.
I jeśli rolnik gadu nie wypleni,
Spocznij spokojnie! — gdy jesień nadbieży,
Szarańcza czuwa i zasiewy zbierze!

A wyż to przecie, wy w środki bogaci,
Powinnibyście w duchowej krainie
Zamieszkać, wzrastać w umysłu dziedzinie,
I krzepić wzrost i siły ubogich swych braci!
I cóż stąd, żeście wy bardziej pieniężni,
Gdyście słabi umysłem, mali, niedołężni?
Wy wierzycie w materję, bo nie macie ducha;
I pierś, jak kufer, sztabą zamknęliście twardą.
Wszystko, co jest szlachetne, wita was z pogardą:
Tylko podłość płaszcząca w próżność waszą dmucha,
Lecz taż zgraja, co przy was wzrośnie na kradzieży.
Jutro wam, mniej pieniężnym, pogardę wymierzy—
Waszą barwę i postać wdzieją nowicjusze,
Aby świat ich nie poznał, że to parwenjusze!

Tu już koniec jest fragmentu.
Chwała Bogu, wyznam szczerze,
Choć przyjaciel jestem Sowy,
Lecz się cieszę z tego mętu,

Który wpłynał mu do głowy
I ją zwichnął: bo nie wierzę,
Ani dzielę Sowich zdań,
Aby tyle pięknych Pań
Tylu grzecznych, obiej płci,
Byli tak wytchli i źli!
Bo czyż dowód złości, tchlizny,
Te frazesa francuzczyzny!
To rzecz strasznie oklepana,
O której bębnią odwiecznie;
Przedmiot śmiechu warty, błahy.
. . . .
. . . .
Język własny nie ma sprzeczki;
Jest coś gruby, nakształt sieczki!
Ani uczuć namiętniejszych,
Ani myśli, ni piękniejszych
Słów grzeczności, tak się skupi,
A szczególniej, gdy kto głupi!

Na toż przecie wychowanie,
Żeby można skryć starannie
Natury małe schybienia!

Wieszcz nasz nie wiedział niestety,
Że tajniki toalety.....
Zbyt liczne mają odcienia....

Słowa francuzkie, to tęcze,
Gra farb na tłach allegorji!
A *żurnale* i *obręcze*......
To własność *polnej cykorji*.
Piękne kwiaty! — lecz niestety!
Dmuchniesz — zostaną skielety!

To nie sztuka, nie ułuda,
To kultury tylko cuda!

Duch ludzkości upiękniony,
I w najświeższej barwie świeci.
Najwonniejsze wieku dzieci,
Wiwat! niech żyją salony!

*   *   *

Jaka to szkoda, gdy ojciec rodziny
Ziemię poświęci, i węgielny kamień
Swoją ręką położy, i ściany zbuduje,
I dach pokryje, wywiedzie kominy,
I tak się myślą wesołą raduje,
Że tam zamieszka —
Lecz los powie: zamień
Twe wesołe nadzieje w małą garść popiołu —
Dom spłonął — lecz została Fenixu nadzieja!

Tak było w myślach poety.
Był pożar straszny i była zawieja.
Ogień i wicher zagroziły czołu.
Biedny! zwarjował niestety!
I zgubił w myślach nić swojej powieści.
Jakieś odłamy pozostały treści.
Końca z pewnością nikt nie wie.

Lecz w jakimś lasku, na brzozowem drzewie,
Mówią, znaleźli wyryte imiona

I Prota, i przyjaciół, przed drogą daleką;
I mówią, że pod brzozą zasiano nasiona
Nieśmiertelników, lilji, niezabudki;
Że wzrosły bujnie — bo grzędę łez rzeką
Urodzajną zlewano — i żyźniły smutki!

III.

Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, nauczy was wszelkiej prawdy: Bo nie sam od siebie mówić będzie, ale cokolwiek usłyszy, mówić będzie; i co przyjść ma, oznajmi wam.

Ewang. według Ś. Jana. XVI, 13.

Noc miesięczna, majowa. Wierzchołek urwistej góry. Za górą smętarz, dalej kaplica.

JORDAN.

O, przestrzeń niezmierzoną otchłani bezdennych
W krótkich młodości przeżyłem godzinach!
Ach! i w tak zbudowanych mych pałacach sennych
Ocknąłem się, ażebym przejrzał się w ruinach!

Ach trzebaż było, w młodości rozkwicie,
Kędy przyszłością tak serce ciężarne,
Trzebaż ją spotkać, pokochać nad życie,
I trzebaż było spotkać serce marne!

I na cóż ona taka była mała......
I na cóż brała ducha mego szaty!
Na cóż się tak stroiła w uczuć moich kwiaty!
I na cóż się nieszczęsna innemu przedała!
(Pauza.)

I trzebaż było w przyjaźni objęciach
Wyuczyć się smutnego uczucia litości!
I trzebaż było w młodzieńczych pojęciach
Ujrzeć starość szyderczą na pogrzeb młodości!
(Pauza).

Lecz nie! — na wieki jam zrzucił kajdany,
Które ludziom narzuca smutne doświadczenie;
I przyłożyłem do serdecznej rany
Ofiarnika Golgoty—boskie przebaczenie!

Czyż młodość ducha doświadczenie ściera?
Wszakże on wiecznie młody, jak Bóg wiekuisty!
O, tylko samolubstwo młodość nam odbiera,
Tylko duch stary w piersiach egoisty!

O jakże stara pierś ludów dzisiejszych!
Czyż idą do zaguby, czy do chwil piękniejszych?
(Staje u wierzchołka góry, nad przepaścią, gdzie u podnóża smętarz i kapliea).

Umarli! tu śród waszej obszernej stolicy
Ja samotny, żyjący na przeszłości tronie,
Z całą życia boleścią, zamkniętą w mem łonie—
Przeszłości panorama świeci mej źrenicy!

Życia tchnień wielkich chwyta mym oddechem,
I serca wielkie bicia dziś dzielę z grobami;
Waszego szczęścia upajam się echem,
I nad waszą spuścizną zalewam się łzami!

O, gorzka pozostała po was dań żywota!
Smutny posag dziedzictwa—została sromota
Wspomnień szczęścia zbiegłego, obecnej niedoli,
I pamięć cnót i grzechów—stąd i serce boli.

Lecz duch szczęścia zbiegłego powstał ze smętarzy,
Szukał serc niezbrudzonych, niespodlonych twarzy,
I uściski serdeczne na dusze zarzucił,
Płakał, i jęczał żalem, i pieśń wielką nucił—

Pieśń wielkości, żałoby; wszystkie ducha stróny
Zlał w jeden akord, i jakby w tonów całuny
Swojej pieśni pogrzebnej nam piersi obleka—
Pierś w czyśca cień złożona wybawienia czeka!

Patrzę dziś w dzieje—człowieczeństwa słowo
Dziwnie rozdarte na jąkań syllaby!
Świat zająkliwy? lub czyli zasłaby,
By zdołał odrodzenia wdziać szatę godową!

O święte dzieje wielkich chwil tych ludów,
Gdzie pierś człowiecza, jako Boża księga,
Odbiła dzieje wszechmocnością cudów,
Gdzie Bóg i ludzkość jeden łańcuch sprzęga!

O czyliż człowiek w okropnym rozejmie
Boga w swej piersi już żywić nie zdoła,
Aż Bóg mu obraz swej Boskości zdejmie,
I strąci jego, jak strącił anioła?

(*Usiada nad urwiskiem*).

Pozłacane prawdy słowo
Wzięli w usta — i daremnie:
Bo nie z serca—w sercu, ciemnie,
Nad głowami źle, grobowo!
I chrzest wzięli, krzyża znamie,
Krew i żywot — męki Pańskie,
I obrzędy chrześćjańskie!
Ale głos ich sercom kłamie!

Umęczony Bóg na krzyżu
Powstał oczom na obrazku
Z farb, i z drzewa, i ze śpiżu;
Lecz samotny jest na krzyżu
I samotny w cnót odblasku!

Powstał z grobu, umęczony,
I króluje tam, na niebie!
Lecz w człowieka Bóg wcielony,
A on Boga w sobie grzebie
I na niecnot krzyżu męczy!

Z znamionami chrztu, poganie!
Kiedyż w piersiach waszych wstanie,
Jak wstał z grobu, i uwieńczy
Życie wasze tą błogością,
I tem szczęściem, dla którego
Bóg żył, umarł, z tą miłością,
Co przekazał dla bliźniego?

Wstańcie, wstańcie, jasne zorze,
Zapadłe w piersi głąb ciemną!
Myśli boża zstąp' nade mną!
Niech dnia bramę ja otworzę,
A zaświta dzień jasności,
I z ich piersi mroki spadną,
Przejrzą światło, i odgadną
Jedno szczęście swe w miłości.

DUCH ZŁY (zjawia się).

Czego ty żądasz? Jam jest ziemi władzcą,
Zdajesz się przyjacielem być ludzi i ziemi—
To bardzo pięknie. Ja ci zostanę doradźcą.
W nagrodę wesprę radami mojemi.
Ale, jak widzę, jesteś na złej drodze—

JORDAN.

Jam rad się kształcić, rad złego odchodzę.

ZŁY DUCH.

Chwalebna bardzo jest taka gotowość.
To daje myślom i czuciom poprawność.
Warteś słów moich; więc w zakład przyjaźni
Dowiedz się, że w twych myślach jest wielka jałowość.
Twoich celów i dążeń zaszła ziemska dawność.
Chcesz pić z pustej oddawna czary wyobraźni,
Ty chcesz miłością świat cały zespoić,
Chcesz go uzdrowić, nakarmić, napoić;
A przecież to dziejowych już jest prawd produkcją,

Ze nie jedne miłością zapierzchły się usta,
Że miłość w sercach obudza obstrukcją;
Nakoniec różne są na świecie gusta,
I każdy zjada podług apetytu,
A o to chodzi, by podjadł do sytu!
Tyle straw innych, które serce żywią!
Trzeba się kuchennego wyrzec fanatyzmu,
Sądzić rozsądnie, bez obskurantyzmu,
A wszyscy ludzie wnet się uszczęśliwią!
Wy chcecie tylko prawdę w starym znać mundurze.
Już się mundur ten podarł na Golgoty górze
Już Słowo, które przyszło i stało się ciałem,
Powieszone oddawna — ja sam pomagałem.
Już nie ma Słowa ciała; tylko krzyż widzicie;
Lecz i on pada — patrz, na krzyża szczycie
Struś siedzi i swym dziobem dziobie bez litości,
Tuż przy Strusiu chłop dzielnie siekierą go wali;
A tuż ognisty strumień z podstawą go pali. (4)
Przestańcież głupcy wierzyć! bo pęknę ze złości!
Bóg żyje tylko w duchu naświeższej ludzkości.

CHÓR DUCHÓW NAJSWIEŻSZYCH.

(*obwiany eterem i wonią*).

W naszych piersiach Pan Bóg mieszka,
I odkryta szczęścia ścieżka.
W piersiach naszych niebo mamy,
Śpiewamy, tańczym i gramy!

O, nam dosyć rękawiczek
Glansowanych, mankiecików,
Wieczorynek — i twarzyczek.
Przy szeleście ich trzewików,
Śród migotu białych ząbków,
Śród błyskawic jasnych oczek,
Śród wiejących sukien rąbków,
Życie całe jak obłoczek
Na woskowej płynie sali!

Kędy świateł błysk promyczek,
Do Edenu! do Walhalli!

I mamy mały słowniczek
Grzecznych pachnących słów treści,
Ile mała główka zmieści.

To tak białe ząbki bawi!
Wzrok w uśmiechach ich się pławi!
Rozpostrzenia się w głąb łona.
Wszystko cieszy, wszystko dziwi.
I my żyjem tak szczęśliwi:
Bo ludzkości my korona!

ZŁY DUCH.

O! to życie boskie! cudne!
Lecz wam przestroga jest dana za gońca,
Że ten tylko zbawiony, kto wytrwa do końca.
Inaczej życie i smutne i nudne

Trzeba się będzie zmienić w mizantropa,
I rozrywką jedyną będzie: dusić chłopa!

CHÓR DUCHÓW STARSZYCH

(tej samej natury, oblanych eterem i wonią).

Myśmy życie przetańczyli,
I przegrali, i przepili;
I nie możem złapać wątków
Szczęścia co nam rychło pierzchło.
Mamy niestrawność żołądków,
I tak w oczach wszystko zmierzchło—
Nic nie czujem! nic nie widzim!
Aż się samych siebie wstydzim!

ZŁY DUCH.

Lecz wam przestroga już dana za gońca,
Że ten tylko zbawiony, kto wytrwa do końca.
Wszakże ja tyle tylko rozumu wam dałem,
Ile się mogło zmieścić w waszej małej główce.
Wy go jak grosz zdatkowy trzymacie w gotówce
I chcecie Rotszyldami być z tym kapitałem!

WIDMO OBRZYDLIWYCH FORM.

Ach! jam tak podły! każda myśl ma chora!
Nim się urodzi, już w zarodku zgniła,
A czaszka moja, to myśli mogiła.
W ustach mych zgniłe są tchnienia upiora!
Bo słowo moje z mem sercem zamarło,
Łzy z moich oczu, spodlenie otarło!

Jam duch strącony tych wesołych twarzy,
Których rdzeń życia w ich okrągłych brzuchach.
My szydzim z wiary, z nadzieji ołtarzy;
Skomlim wesoło, jak psy na łańcuchach!
Każda myśl lepsza, ten złodziej pokoju,
Każde uczucie, które się wylęga
Z tęsknoty, bolu, zapału, nadziei,
Jest wrogiem naszym! i grot je nasz sięga!
My, jak ząb węża, lub nakształt os roju,
Lub jak ogary rozpuszczone w kniei,
Szczwamy, polujem to źwierzę nadziei,
To źwierzę uczuć i źwierzę myślenia!
Potęgą naszą, potęga spodlenia;
A złoto, szczeblem naszego znaczenia!

Dzień jeszcze cały wesoło nam płynie:
Bo ducha topim w bachaljach i winie!
Lecz gdy dzień minie, o! w północnej porze
Z obrzydłem cielskiem nie chcąc łoża dzielić,
Lecę czarem szczęśliwszych wspomnień się weselić —
I znowu wracać muszę w brudne ciała łoże.

JORDAN.

Czyż duch twój wolnym nie może już zostać?

WIDMO.

Tajemnym sądom Bożym nie zdoła nikt sprostać
Straszne! lecz sprawiedliwe!
Rozjaśń przeszłości pochodnię —

Ujrzysz widomie wszystkie nasze zbrodnie,
Dla których i Bóg nie da rozgrzeszenia,
Aż się cnotą wykupią w przetopach cierpienia!

JORDAN.

Jakie widmo okropne!

ZŁY DUCH.

To piękna figura!
Ale ich jeszcze spłynie cała chmura!

DRUGIE WIDMO (rubinowego koloru.)

Ja piłem ciągle wyborne wina,
Bo były smaczne i w modzie;
I piłem codzień blisko tuzina,
Potem musiałem przestać na wodzie.
Nie mogąc przeżyć moralnego bolu,
Napiłem się witryolu!

ZŁY DUCH.

Wszak była rada dana za gońca,
Że ten tylko zbawiony, kto wytrwa do końca!

WIDMO TRZECIE.

Ja byłem człowiek rozsądny;
Ceniąc sam władzę, umiałem jej użyć;
I nie robiłem żadnych nadużyć;
I byłem tylko tak jak każdy rządny:
Nigdy nie byłem tyranem,
I zawsze z pewnym karałem planem.

Choć o zabójstwo oskarżał głos gminny,
Lecz nie jedno mi śledztwo
Posłuży za świadectwo
Że byłem niewinny!

Pijaństwo, hultajstwo chciałem pokonać;
Chciałem, by chłopstwo miało też chleb,
Tymczasem jeden jak palnął mię w łeb,
Nie chcąc pod kijem musiałem skonać.

ZŁY DUCH.

To było proste chłopskie grubjaństwo,
Trzeba to przyznać wychowaniu złemu:
Bo kij do czoła przykładać bliźniemu,
Iżby miał skonać, wzbrania chrześcjaństwo,
Co nakazuje dobrem za zło płatę.

WIDMO NOWE.

Ja też to właśnie, chcąc szerzyć oświatę
Miałem potrzebę imienia;
Jam literacką chciał robić karjerę.
Lecz szło wszystko jak z kamienia!

Ja traciłem młodość, cerę;
Jam mozolił moją głowę,
Pisał książki tandetowe,
I niemałom zniósł katuszy;
Sięgał po wieńce laurowe,
A dostałem ośle uszy!

Omałom był nie zawitał
Aż na Parnas! — cios fatalny!
Jakiś warjat mię zapytał:
Jaki pism twych sens moralny?

Mimo moje chwalce liczne,
Po których się na szczyt darłem,
To pytanie satyryczne
Zabiło mię i umarłem!

ZŁY DUCH.

O! jaki biedak! Żal mi każdego pisarza,
Czyją skroń zamiast laurów coś innego wieńczy!
Lecz to wszystko zależy wprost od kałamarza,
Co siedzi w więzach żebrowych obręczy,
A ma swój korek pod sklepieniem czaszki.
I każdy pisarz podobny do flaszki.
Lecz każdyż z flaszą swą zrobić jest w stanie
To co w Rzymie Twardowski? lub co Chrystus w Kanie!

O! tacy mistrze, co te robią cudy,
Ich papier jest historja, a ich zgłoski, ludy —
Choć się zgadzam z Frydrykiem, że wielcy pisarze
Trzymają większe berła, niż świata mocarze!

Lecz to w djablem sumieniu wznieca nawet burzę.
Dobryby wynalazek był i dla szatana

Ten homeopatyczny system Hanemana,
Co tak dziwnie panuje dziś w literaturze.
Gdzie z drobniuchnej prószynki mozgowej esencji
Robią solūcją aż setnej potencji!
Zamknięte w małym mozgu malutkie atomy
Solwują w atramencie niezliczone tomy!
A sawanci, sawantki, wszystko wypić muszą!
Dzisiejsi literaci cały świat zaduszą!
A cóż my będziem robić? Złość mię bierze wściekła?
Wszystkich tych mości panów zaproszę do piekła!
Bo straszna pycha! małe flakoniki
Chcą, by im wielkie stawiano pomniki!

DJABEŁ (niby się ocykając, z łagodnym uśmiechem).

Dobrzy ludzie! ja radzę, szczerze się poprawcie,
Nie czytajcie ni myślcie—nam tę rzecz zostawcie!

JORDAN.

Zły duchu!

ZŁY DUCH (przerywając z dobrotliwą ironją.)

Chcesz kląć? — Bądź wyrozumiałym!
Mam i ja swe słabości. Dzisiaj sercem całem
Chcę się tobie otworzyć. Przed niejednym wiekiem,
Tak jak wy wszyscy, ja byłem człowiekiem;
Lecz zostałem strącony, tak jak wy dziś wszyscy;
I więcej niż sądzicie dziś z sobąśmy bliscy!
My już dziś nie jesteśmy te djabły z rogami,
Co u was w tradycyjnej dotąd tkwią pamięci,

Ani tak obrzydliwi, ani tak zawzięci –
O! my pierś naszą karmim waszemi piersiami!

Samolubstwa waszego otwartemi wroty
Wchodzim do piersi waszej, i stajem u progu,
I zabieramy te liche pół-cnoty,
Która się nie zda ni światu ni Bogu;
I zabieramy liche pół-miłości:
Oprawę egoizmu sztucznie pozłacaną,
Pod którym duszę widzimy miedzianą.
To najsmaczniejsze są nasze słodkości,
To najsłodsze jagody z egoizmu drzewa!

Ileż nam jagód najsłodszych dojrzewa!
Ach w każdem waszem kłamanem uczuciu,
Ach czyż jedną niewinność na ołtarz zepsuciu
Poświęcacie, by sobie roskosz przysposobić?!
Cóż piękniejszego mogą djabli robić?

Tylko sumienie poszlijcie swe w zwiady,
A w piersiach waszych tyle znajdziecie szkarady,
Że w nich tyle co w piekle jest djabłom biesiady.

(Przyjmując grzeczne salonowe formy.)

Może jestem *à charge?* widząc, żeś znużony,
Nie chcę być *mauvais genre.* Zwiedzałem salony—

Umiem być grzecznym, *et par consequent*
Żegnam cię! — A widzisz, żem *trés complaisant!*

(*Znika*).

(*Jordan w najwyższem wysileniu pada nad brzegiem urwiska góry.*)

CHÓR DUCHÓW.

Do piersi w bolów zawiei
Trzeba wlać kielich rospaczy
I zamknąć bramę nadziei —
Wstanie i będzie myślał inaczej!

W myśli jego wlać zwątpienie,
I w zmysłów wykąpać puchu,
I duchowych mar sklepienie
W zmysłów uwięzić łańcuchu.

To jeden z ziemskich tytanów
Duchowe rozdyma żagle.
Trzeba jego zdusić nagle,
Aby nie szydził z szatanów.

CHÓR DRUGI.

Przez męczeństwo i ofiary
Na świętej górze Kalwarji,
Przez boleści Swiętej Marji,
I przez święte Ducha dary,

I przez łaskę świętą pana
U miłosierdzia podwoi,
Niechaj serca ciężka rana
W balsamicznym ducha zdroju
Ciężkie boleści ukoi;
I niech w duchowym pokoju
Nad smutków i łez żałobą
Płynie przeznaczeń swych szlakiem;
Niechaj zawsze będzie z sobą,
Zawsze niebieskim rodakiem!

DUCH KOBIETY.

Jak leciałam, tak i lecę,
W nieprzejrzaną lecę stronę.
Na tonącej w łzach powiece
Niosłam serce zakrwawione!

I w gontiwach tak bolesnych
Odgłos jęków w ucho dzwonił,
Z bolów serca i cielesnych
Umęczoną głowę skłonił!...

O! nie patrzcie! zda się w łonie
Nie ma serca, tylko rana!
To ból, ach ból siadł na tronie!
Urząd króla i kapłana
Spełnia razem w mojem łonie!

O, królewska i kapłańska
Przenajświęciej zespolona
Boleść święta — chrześcijańska,
I krwią świętą namaszczona!

Ach jak z burzy, ach jak z gromów
Dzionek letni się wylęga;
Jak wszechmocnych sił potęga
Zlewa w światy pył atomów;

O tak z burzy, tak z boleści
W mojem sercu, tak jak w wiośnie,
Cudny dzionek w sercu rośnie!
Słowik ducha go obwieści!

ANIOŁ-STRÓŻ.

Straszne przeszłości ciężą nad nią grzechy!
Ale straszniejsze ciężyły nad światem!
Lecz z wysokości Syn Boży na ziemię
Zstąpił, człowieka aby został bratem,
I tonące ludzkości w ciężkich grzechach plemie
Z piekielnej wywołał strzechy!
I wyuczył ofiary i drogi zbawienia,
I wyuczył sił ducha, i wyuczył cudu
Trudna nauka! — bezbożni się śmieli! =
Lecz mądrość boska w czyją pierś się wcieli,
Pierś zabrzmi słowem, i stanie śród ludu,

I cud się stanie; przeniosą się góry,
Rzeki zmienią koryta, słońca wstaną z chmury.
Słońce ducha pierś rozmroczy,
Ku zbawieniu przejrzą oczy!
Bo wśród grzechów największych, wśród
twojego grona,
Więcej jak jeden Noe, przy korabiu cnoty,
Dźwigał arkę, męczeńsko tuląc ją do łona,
I unosił duch braci nad zgubne potopy!

PATRON ZIEMI.

Duchy przeczyste wzleciały śród kraju,
Choć w piersi kraju jeszcze nędza wielka;
Boskiej przyszłości obwiały kraj tchnieniem —
I z łona ducha rosy spłynęła kropelka!
I kraj szczęśliwy wróżbą urodzaju,
Roztworzył pierś swą, i uczucia pory
Ku niebieskim żywiącym pokarmom otworzył.
Duch przeszłości zaklęty w sercu braci ożył,
I stanął oczyszczony w sukience pokory,

Bóg zna dzieje każdego kwiatu i robaka —
To Jego dzieci — lecz Jego i ludy.
Wśród dziejów ludów, zna przeszłość... ot taka!...
Zna grzechów brzemię, zna i męczeństw trudy!

Już błysła zorza w nowem ducha słowie,
Już noc zapada w otchłani bezdennej—

On leży z męczeństw cierniami na głowie,
Ze snu podźwignąć nie śmie głowy sennej!
Swit ranka jego nie budzi z pościeli.
Choć spi długo, sen jeszcze jawę jemu tai.
Gdy pierś jego rozkwitnie, on jawą wystrzeli,
I byt czuciem i myślą i czynem umai.

JORDAN (przebudzając się.)

Duchu jasności! świętego promienia
Daj myśli mojej, niech rozetlę w łonie;
Użycz mym oczom jasnego spojrzenia,
Niech wzrok mój w szlaki przyszłości utonie;
Niech ma pierś piosnkę odgadnie zbawienia!
Niczegom nie chciał, z dni moich poranku,
Ze wszystkich skarbów na życia dziedzinie,
Tylko piosenki tej chciałem jedynie,
Chciał sięm wyuczyć i piać bez ustanku,
I z pieśnią moją zlać życie me w czynie.

Kiedy pierś moja westchnęła ku Bogu,
I Bóg mej piersi z Bogiem na niebiosach
Złączył się w myśli o ludzkości losach,
O, zbolały okropnie stanąłem na progu
Kolebki mojej i chwili dzisiejszej,
I drugiej w życiu nie miałem piękniejszej!
I poznałem ból piękny na Oliwnej górze!
O, i byłem szczęśliwy w boleści torturze!
I płakałem z roskoszą, ach bo mi się zdało,

Że łzy moje, to potop; że za wszystkich płaczę;
Że w łzach utopię to życie tułacze!
Swoje i braci, które tak spodlało!
I wszystkie grzechy w młodości zaraniu
Wylęgłe w błędzie i w złem wychowaniu,
I swoje, i narodu, utopię w głębiny;
I że na Araratu duchowe wyżyny
Uniosę wszystko, co z boskiej dziedziny
Zostało czyste w łona głębokości.
I w przeświadczeniu ludzkości sumienia;
I gorycz z pożytego drzewa wiadomości
Odkwitnie w nowej odrośli zbawienia.

PATRON JORDANA.

Stań przed natury rozległą widownią,
Z prószyn ziemskości obmyj duszy oko,
Popatrz bezdennie, w głębiny, wysoko,
A weźmiesz duchem natury warownią;
Tajnie, jak morze z pod Mojżesza laski,
Rozstąpią: bo w tym duchu są Boga odblaski;
Oczyść się tylko, wykąp się w pokorze,
Słonecznym blaskiem wystrzelisz w przestworze!

Patrz na ten ruch bez końca, co w natury łonie;
Ten bieg i ten niepokój, co nie ma spoczynku
Ni w nocy ni we dnie!
Prędzej niż tkacza czółenko
Nić widomego żywota

Z brzegu przebiega do brzegu,
Z życia kolebki do trumny!
Lecz bieg jej bezbrzeżny,
Ledwo poczęty, ku końcowi bieży,
I końca, kresu znaleść niemoże:
Bo ów kres i ów koniec
Jest to tylko nowy goniec
Nowego końca i kresu, co będzie!

Patrz—wód potoki lecą bez końca do morza;
Morza przepełnić nie mogą:
Bo znowu idą skąd przyszły tąż drogą,
Idą powrócić do swojego łoża.

Patrzaj—zdroje żyjących na mogiły płyną;
Mogił przepełnić nie mogą.
Choć strumień śmierci bieży i bieży,
I pędzi w wieczność, nowe życia wpłyną,
Znowu wracając do życia wybrzeży!

Słyszysz starca łabędzia przedśmiertne pień słowo:
Ach! wszystko próżne! znikome!
Pełne boleści i krwawego znoju!—
Lecz gdy w młodości znów odżyje zdroju,
Znowu przez życia leci ścieszki strome,
Nim znowu zmordowany nie zaśnie nanowo,
By powtórzyć przedśmiertne znikomości słowo!

Lecz w tej bezdni przechodu widomego świata,
Bez tej osi, na której swoje biegi toczy,
Bez tej władzy, co wszystkie sił kręgi jednoczy,
Jako słońce dzierżące ster planet swych biegu,
Mogłożby bez spoczynku, wytchnienia, noclegu,
Wszystko się kręcić w pozorze bezładu,
Pośród życia rozkoszy, i boleści jadu,
I śród ludzkich ziemskich złości,
Śród tych urągań i niebu i światu?
Mogłożby tak trwać wszystko na łonie ziemskości
Bez wielkiej świętej przystani Sabatu?

Lecz gdzież ta przystań, wypoczynek święty,
W widomych światów obszarze?
Gdzież tej świątyni ogień i ołtarze,
Gdzie mają spocząć stworzenia odmęty?
Gdzież on? W świata widomego ruchu,
W tem przejściu przejść bez końca, w wiecznym wirze przemian,
Niemasz ciszy Sabatu dla ziemi i ziemian?
Jest! Bóg w człowieka uświęcił go duchu.

Patrz—o, cała natura zda się na coś czeka.
Ziemia swą pierś wydęła, by w wielkiem westchnieniu
Alhejskich szczytów w niebo się podniosła,
Jakby tęsknicą pod niebo urosła!

Ale tylko duch człowieka,
Po swoim boskim promieniu
W łono się Boga zacieka,
W wieczności kąpie strumieniu!

Na rozdrożu dwóch światów, widomemu światu
W świętej ducha harmonji jest święto Sabatu,

Wszystkie ruchy i waśnie cielesnych odmętów,
Rzucone w wiry cielesnej otchłani,
Nakształt płynących po morzu okrętów,
W ducha głębinach ciszę znajdują przystani! (5)

Na rozdrożu dwóch światów tyś w wieczności kole
Elipsą sięgającą i nieba i ziemi
U nóg z ziemią zbratany, a bóstwo na czole!
Boleści ziemskie tu słowami czczemi,
Czczy głos dla ducha żałobny głos śpiżu.
Mękom cielesnym stoi duch na straży.
Człowiek okropnie męczony na krzyżu.
Uniósł ducha z uśmiechem pogody na twarzy!

Na cóż On przyjął cielesne cierpienie?
On tajemnicy wyuczył ofiary;
W poświęceniu się wszystkich jest wszystkich zbawienie,
I już nie męczeństw, lecz szczęścia sztandary!

Tak nam przez Niego pokazana droga.
Chór męczenników musiał ją krwią zrosić.
Lecz będzie człowiek podniesion do Boga!
Kto podniesion, ten musi tak innych podnosić.

(Znika.)

ZŁY DUCH

(w postaci kobiety pokazuje się w głębokościach przepaści).

Przybiorę postać jego kochanki,
Słodkiemi oczy jemu się przymilę,
Przysięgnę miłość, włożę ślubne wianki,
I już się oprzeć nie będzie mi w sile,
Wydrę mu z serca zapomnienie siebie,
W samolubnem uczuciu świat cały zagrzebię—
W sercu mu pamięć błogich chwil odżyje,
Skoczy po miłość, i tak złamie szyję!

(Woła Jordana, przyjmując naprzemian barwy najponętniejszej Kreolki, potem smutku i rozpaczy.)

Jam tu—jam twoja—iść z tobą gotowa!

JORDAN

(obwiany skrzydłem Anioła Stróża.)

O, w sercu mojem ty już jesteś wdowa!
Po twego serca podgrzebie
Ja nie pójdę szukać ciebie,
W przepaściste lecieć tonie.
Czy pierś żarem uczuć spłonie,
Czy czas żary te wystudzi
I śmiech smutny da mi w wianie,

Jeszcze zawsze mi zostanie,
Miłość moich bliźnich—ludzi!
Dla niewieścich cnót i wdzięków
Cześć zostanie w sercach prawych;
Lecz miłośnych łez i jęków
Bohaterów tkliwo-łzawych.
Na samobójstw złym kurhanie.
Niechaj, niechaj nie zostanie!
Z młodości jeszcze poranków
Tajnie tych bolów rozdarłem;
Smierciami wszystkich kochanków
I bolałem i umarłem.
I z Gustawem się zabiłem;
I płakałem tkliwe dziecię;
Z jegom upiorem błąkał się po świecie.
Smiech świata ogniów nie studził.
Ale go potem gorąco prosiłem,
By się znów nie zabijał i znów się nie budził!
Pył z pistoletów Wertera
Już dla mnie śmierci był hasłem,
Gdy dając dzieciom chleb z masłem,
Ona z nich pyły ociera—
I do Hernaniego szyi
Przywiązanej jak psu dzwonek,
Co serdecznej jady żmii
Miał zlać w hańbę lub postronek....
Wszystkie, wszystkiem przeżył bole,
W romantycznej znane szkole!

I kochanków wszystkich skonem,
Biednej Gretchen boleściami,
I Ofelji szaleństwami,
Umarłym w bolu szalonym!
Jaż mam dzisiaj, zmartwychwstały,
Przedrzeźniać śmierci mistrzowskie?
O. wszystkie te Platonowskie
Takie cudne ideały
W stokach brudnych Satyrjazy
Tak skąpano! i w obrazy
Eteryczne ustrojono!
I na stroje pożyczono
Wszystkich tajni estetycznych!

Bohaterów romantycznych
We krwi żarach rozpalali—
I przy serdecznych pochodniach
Uświęcali cnotę w zbrodniach!
Lecz na dzisiaj już za mali
Wszystkie owe bohatery,
Sród świtania nowej ery!
A zostanie wiara święta,
Że nie będzie prawda tajna;
Że wszelka miłość przedajna
I kłamana jest przeklęta;
Ze doczeka ludzkość święta,
W którem kłamstwo, udawanie,
Dla cnót, Boga, i dla bliźnich,

Umrze raz w piersiach, i z nich
Wzrośnie Feniks—Zmartwychwstanie!

(Postać kobiety przemienia się w widmo, w którem twarz jej jest ułożona w mozaikę różnego gatunku monety; pierś brylantowa; wszystkie członki z różnych drogich kamieni. Iordan kładnie znak krzyża — widmo znika. Iordan uklęka i modli się — z mogił przelatuje chór Duchów czystych nad głową Iordana.)

1-szy.

Żebrać siebie, stopić trzeba —
W wolnej woli grom się skuj!
I dwa życia: ziemi, nieba,
Zlej w harmonji święty strój!

2-gi.

Jak niebieski ów Posłaniec,
Co dwa życia: ziemi, nieba,
W jeden boski zlał kaganiec,
I wam wskazał, czem być trzeba —
Czem być trzeba — czem być można!

. . . .

On się wcielił w wasze ciało,
Przyjął serca bicie wasze,
Przyjął wszystko, co bolało:
Za przyjacioł miał Judasze;
Jednak słowo zmienił w ciało,
Boskie słowo w boski czyn:
Bo prawdziwy Boży Syn!

3 ci.

Lecz prawdziwy i wasz brat!
Wszak tak wyrzekł- czyż nie wiecie?
I dla tego przyszedł w świat
Jak najmniejszy w całym świecie,
By różności ziemskie sprostać,
By najmniejszych bratem zostać!
W stajni, w żłobie, cieśli dziecię!
Ale w piersi boże kwiecie
Przyniósł z sobą wielki brat,
By pokazać, jak je chować:
Trzeba w piersi pielęgnować —
Jakim cały ma być świat!

4ty.

Wy myślicie, że bluźnierstwo
Takie z panem rówiennictwo?
Nędzne pańskie jest żołnierstwo,
Gdy w to Jego posłannictwo
Ani wierzy, ani uczy;
Myśl tę zowie pychą, grzechem —
O! szatana wtenczas echem,
Który ziemskość ich wytuczy,
Natchnie chuci szatańskiemi.
Mierząc czyny jego z swemi,
Jakże wierzyć, uczyć mogą,
Gdy tak różną idą drogą!

PATRON ZIEMI.

Wielki bracie! duch ludzkości
Kornie zgina swe kolana
U stóp ducha! Daj kapłana,
Co nas ma wieść ku przyszłości!

Wy mówicie: ludzka stopa
Krokom pańskim nie podoła:
Bo zmyć trudno pychę z czoła,
Trudno zostać bratem chłopa.

Ró:ne chrześcjan udawanie.
Ja wam powiem — ach! bo muszę,
Że spodlone macie dusze,
Tylko słowy chrześcijanie!

Lepsi jeszcze między wami
Dzielą kieskę swą z chłopami,
Pamiętają o ich brzuchu,
Jak psu rzucą kawał chleba.
Lecz tak z braćmi żyć potrzeba?
Trza się z niemi dzielić w duchu!

Bo prawdziwa w tem ofiara,
I dwa cale: nieba ziemi.
Tak będziecie szczęśliwemi,
Albo i tam i tu kara!

CHÓR.

Śpieszcie, śpieszcie do ofiary!
Lub panować będą kary!

ANIOŁ STRÓŻ JORDANA.

Gdy twe wszystkie święte chęci,
Całą twoją pierś owioną,
Będą w sercu i pamięci
Twoim pługiem, twoją broną,
Życia ziarnem, bytu rdzenią,
I rozkoszą twą, i kaźnią,
Twoją jawą, wyobraźnią,
I w snach twoich się rozplenią,
I rozwiną się w marzeniach,
I rozkwitną w uniesieniach,
I w rozwadze twej dojrzeją,
I staną się twą nadzieją,
Twą światłością, która wpłynie
W wszystkie gwiazdy twego łona —
Na takiej wejdą dziedzinie
Chęci, jak ziarna Jasona!
I gdy zgodny akord bytu,
Bolów, ofiar i zachwytu,
Zlejesz w jeden śpiew choralny
Uświęconej tak idei —
Tak w niej świętą ujrzysz czystość —
Wyjdziesz z piekieł — tryumfalny!

Wejdziesz w boży dom — nadziei
Co się zlewa w rzeczywistość!

PATRON ZIEMI.

Lecz żądz waszych przeskok prędki:
To zapałem pjani zmiennym,
To złudzeniem niby sennem.
To nie chęci, ale chętki!
Nie zamknięte w woli karby,
Nie wcielone w życia rdzenie;
I strwonione wszystkie skarby —
Życie wasze, to marzenie!

I tak w sennych mar przegonie,
Co w widziadeł szkle rozbitem,
Mózg w widzeniu chorowitem
Wasze senne obwiał skronie.

Wyście senni, choć czuwacie,
I bezczynni, choć ruchawi;
Lecz was nie ruch, lecz czyn zbawi,
Czyn w duchowej odzian szacie.

DUCH LUDZKOŚCI.

Kto co zechce zdziałać może,
Ten jest wielki! bo rozmierzył
Chęci swoje z siłą w chórze,
I dokonał, w co uwierzył!

Wielki, tworzy to, co zechcę;
Lecz gdy duma go rozłechce,
Wzgardzi cnoty on ołtarzem,
Będzie wielkim — lecz zbrodniarzem!

Mądrym jest, kto tylko tyle
Chce, co zdziałać w jego sile.

Lecz i wielkim, mądrym razem,
Jest, kto chce, jak chcieć powinien;
Z siłą bóstwa i obrazem,
Niebu, ziemi, da co winien!

Człeku! wielka twa potęga,
Gdy się władza twego ducha
W gromy wolnej woli sprzęga!
I gdy święcie jej usłucha,
Jak cud słucha bożej ręki,
Jako światło słucha słońca;
Gdy tak ziemskie duch odtrąca,
Jak noc strąca blask jutrzenki!

Gdy pierś taką zagrzmi wolą,
Gdy się chęci tak zespolą —
Ja chcę! — powiesz ty do siebie,
A Bóg — stań się — powie w niebie!

Bo głos Boga i głos ludu
Zlewają się w jedno brzmienie.
Lecz ma boskie być twe chcenie,
Kiedy pragniesz doznać cudu! —

KONIEC.

PRZYPISY.

1) *Upas.* Tak się nazywa drzewo rosnące w Indjach Wschodnich, znajome ze swej jadowitej własności. Długi czas wierzeno w Europie wskutek pamiętników lekarza Forsch z 1783 r., że drzewo to, na kwadrans drogi dokoła, jadem swym powietrze zatruwa i wszystko zabija. Z soków tego drzewa krajowcy przygotowują truciznę do namaszczania swych strzał, któremi zadane rany są nieuleczone.

2) Myliłby się, ktoby chciał sądzić, iż w tym ustępie autor tchnie wyobrażeniami jakiejkolwiek partji. Na czasy dzisiejsze byłaby to za wielka nędza. Lecz nędza moralna, a nakoniec ostateczny upadek rodzin — dziedziców wielkich imion i spadków, mają głębokie znaczenie w naturze zawieranych związków. Te zagadki już rozwiązała wyższa medycyna na koniecznych prawach fizjologji.

3) Jest to aluzja do tych fermentacji wyobrażeń teologiczno-filozoficznych, szeroko dzisiaj w Europie rozlanych. Szczególniej słowa te szydercze od-

noszą się do tych, którzy utrzymują, iż idea chrześcjańska już siebie przeżyła i nie może odpowiedzieć dalszym warunkom rozwijania się ludzkości. Ciekawych czytelników odsłyamy do dzieł Straussa, Bruno Bauera, Feuerbacha, Schleiermachera, Neandra, Ulmana etc. etc. Zob. nadto *Dictionnaire de Théologie* par l' Abbé Bergier, 1842 roku, artykuł *Abaissement*.

4) Strauss (Dawid Fryderyk), autor głośnego w Europie dzieła: „Życie Chrystusa“ (Das Leben Jesu).

Około wyobrażeń Straussa grupują się imiona hołdujące jego pojęciom. Do tych należą między innemi: *Feuerbach i Bruno-Bauer*, którzy wszakże nie zdołali ustalić sobie tej popularności. Gruby materjalizm i dziki fanatyzm przeciw wszelkiej religji, który cechuje ich pisma, obudzają uczucie wstrętu i litości w ludziach głębszego myślenia. Przytoczę słów kilka z Hermana Ulrici (Das Grundprincip der Philosophie, w Lipsku, 1845 r.) „Es ist indess nicht der Mühe werth, seine willkührlichen Versicherungen und unerwiesenen Behauptungen mit ihren Widersprüchen und Ungereimheiten zu referiren, geschweige denn zu kritisiren. Feuerbach ist in der Leidenschaftlichkeit seines Hauses gegen jede Religion und alles Methaphysische, in der seine ganze Stärke besteht, jeder frejen, philosophischer Forschung unfähig. Von blinden Affekte getrieben, ist er das

gerade Gegentheil eines Philosophen, ein zelotischer Dogmatiker, der statt Gründe zu geben, mit der Faust auf den Tisch schlägt, und stets den Sieg davon trägt, weil er stets dabei bleibt: Es ist doch so, wie und weil ich es behaupte.“

Przed niedawnemi czasy pokazała się w Niemczech karikatura przedstawiająca krzyż, który usiłują zwalić: struś (Strauss) uderzający weń dziobem, chłop (Bauer) zadający mu cios toporem, i strumień płomienny (Feuerbach) podmywający go z podstawy. Wiek nasz jest bez wątpienia wiekiem wielkich fermentacji religijno-socjalnych. Jeżeli z jednej strony serca prawowierne oburzają się przeciw występującym na świat wyobrażeniom zuchwałym i częstokroć bezbożnym, to z drugiej strony postrzegamy zawsze to pocieszające w dziejach ludzkości, że one służą tylko ku głębszemu wyjaśnieniu i poczuciu zawsze świętej i niczem nieprzełamanej prawdy! Tych kilka słów uważałem za konieczne dla objaśnienia kilku wierszy tekstu.

5) W tym ustępie parę myśli i wyrażeń jest wziętych z dzieła sławnego Schuberta: *Geschichte der Seele.*

SPIS RZECZY.

bolestí odstranění 68

ochotná mučení

To wyjście w tow. grające w karty – prosto od poezji, irracjonalistów do prozaicznej sytr. Faust, Piwnica Auerbacha

monolog dramatyczny

dr.	lir.	ep.
27	28	opow. Hew.
	51. ball.	o Fiali 74
	str. 94	100 - 128
		III cały
		koło d. dopp

bukiecik cnoty 4(17)
wstęp pozorny
przemądrzeni
życie nauczycie

czas str. 81

Jordan

mówi	o nim
93	92 - 96
100	67 - 70
28 - 37 } I	78 - 81
45, 46	5
82 - 86	

III